

Przeszłość w kuli zaklęta



Fot. Z. Dutka

**Zakończył się I etap
dzieła odnowienia bazyliki**

**Krzyż woła:
W górę serca**

Pomnik stanie na rondzie

**Ocalony dorobek
przeszłych pokoleń**

**Klementyna Zubrzycka
limanowski kronikarz czasu
w Krakowie**

Oni piszą do „Echa”

**Wyjątkowy skarb
- Kaplica Łaski**

**Wielki Kaukaz
po raz drugi**

**Bitwa o wzgórze Jabłoniec
z Erosem w tle**

**Nieco refleksji i uwag
po cyklu artykułów
prof. Andrzeja Kuliga**

**Obowiązkowa podróż
na Wschód!
Wołyń 1943-2013**



Limanowski krzyż przed i po konserwacji.
W firmie Ekopromet Kazimierza Wojtasa.
Obok: Końcowy etap montażu krzyża.
Na rusztowaniu: K. Wojtas, T. Kuroś, W. Sowa.



Kazimierz Wojtas prezentuje odnowioną, oryginalną iglicę zwieńczającą limanowski krzyż.

Odtworzone w pracowni Furdyna w Krakowie elementy witrażowe z ramion krzyża na wzór jedyne zachowanego (z lewej).

Fot.: Stanisław Ociepka



Przeszłość w kuli zaklęta

Tuby, butelki, puszki to sposób na wędrówkę w czasie. Złote, miedziane lub pokryte ołowiem gąłki na szczytach wież pełnią rolę wehikułów czasu. Od średniowiecza w czasie budowy wkłada się do nich różne rzeczy. Mogą to być dokumenty, relikwie, pisma, drobne przedmioty, a nawet ludzkie serce. Chowa się je po to, by przyszłe pokolenia po kilkuset latach mogły je odnaleźć, odczytując tym samym wiadomość pozostawioną przez tych, którzy już nie żyją. Są przekazem pokoleń, który tak długo będzie trwał, jak długo znajdą się tacy, którzy ciekawi ich zawartości, zechcą złote kule otwierać.

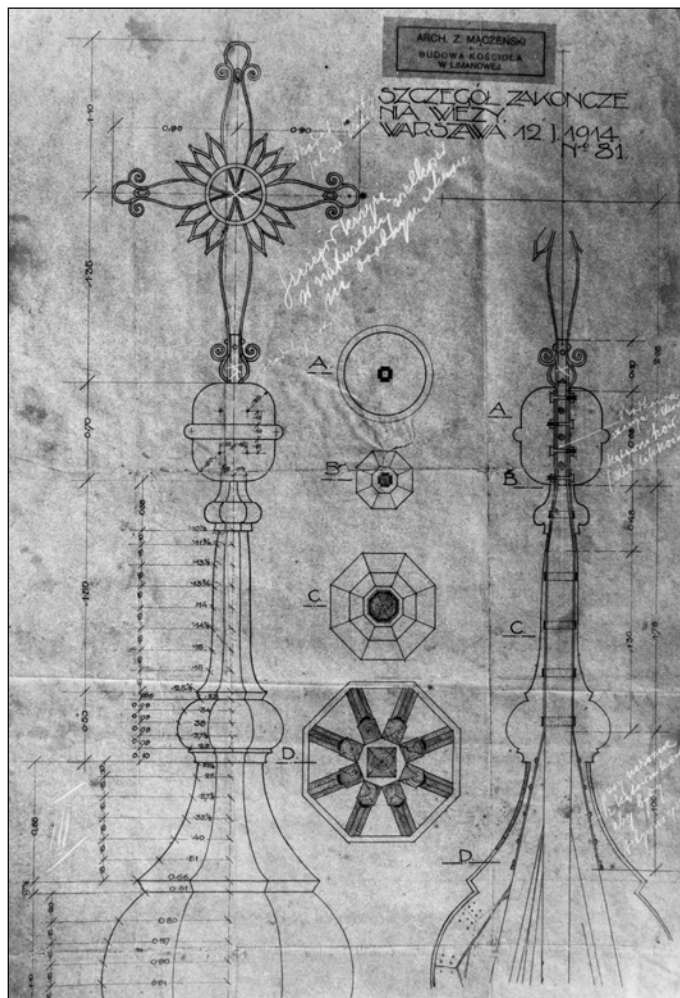
Środa, 1 sierpnia 1917 roku,
Mimo trwającej wojny życie miasteczka toczy się swoim rytmem. Na drewnianych rusztowaniach wznowionej wielkim wysiłkiem budowy nowego kościoła pojawiają się robotnicy. Na linie przy pomocy prostej windy powoli wznosi się masywny żelazny krzyż. Przechodnie zatrzymują się i wytężają wzrok. Ledwie widoczne sylwetki sprawnie wykonują swoje zadanie. Limanowski proboszcz ks. kanonik Kazimierz Łazarski kreator limanowskiej

świętyni wie, że dzieło jego życia do czekało się symbolicznego uwieńczenia trwającej sześć lat budowy w trudnym okresie dla naszego narodu. Tyle trudu i zmartwień wyraża w pięknym krótkim tekście: *Krzyżu święty znaku naszego zbawienia – niech z ramion twoich splywa łaska i błogosławieństwo na wszystkich lud tej parafii, której pasterzowałem lat 28 - gdy krzyż ten osadzono.* Kartkę z tekstem wstawia do butelki, którą umieszcza w kuli wieży.

Niedziela, 1 września 2013 roku,
Proboszcz ks. Wiesław Piotrowski odczytuje parafianom słowa zapisane na kartce włożonej do butelki. Odkryta w kuli po prawie stu latach przy okazji renowacji kopuły wieży kościelnej. Kilka krótkich zdań w stylistyce z innej epoki: *W roku 1917 dnia 1 sierpnia utwierdzono na wieży krzyż. Straszna światowa wojna rozpoczynała rok czwarty swoje niszczące dzieło – zdziwiają, ale i równocześnie zatrważają. Przelana krew nasza za wrogów naszych niech wyjedna łitość i zmiłowanie nad ziemią naszą i ojczyznę naszą wszechmogący Panie – zachwycają. Skierowane bezpośrednio do nas: Gdy to odczytywać będziesz zmów Pobożne modlitwy za nasze dusze – wzruszają. Krzyż wykonał Jan Śmierciak z Przyszowej i sam go osadzał przy pomocy dwóch cieśli z parafii limanowskiej Jana Bednarczyka i Józefa Chudego ze Starej Wsi – inspirują do poszukiwań.*



Narzędzia kowalskie Jana Śmierciaka, którymi w kuźni w Przyszowej wykonał limanowski krzyż.



Projekt krzyża opracowany przez arch. Zdzisława Mąceńskiego dla limanowskiego kościoła - 1914 rok.



Jan Śmierciak (w białym ubraniu) na placu budowy limanowskiego kościoła, obok siedzą od lewej: ks. Kazimierz Łazarzski, Wiktoria Zubrzycka i limanowski wikariusz. Fot. Klementyny Zubrzyckiej sprzed 1914 roku.

W oddalonym od głównej drogi gospodarstwie w Przyszowej wita nas serdecznie Bronisław Stypuła. To nasze kolejne spotkanie. Pierwsze miało miejsce pięć lat temu. Wówczas gromadzone były materiały do artykułu *Sztukmistrz – Jan Śmierciak*; („EL” nr 171, grudzień/styczeń 2008/09). Szkic ten przybliżył wówczas Czytelnikom tę nietuzinkową i jeszcze mało znaną postać, której referencji udzielił w specjalnym świadectwie (opublikowanym w raporcie) inż. arch. Zdzisław Mąceński, pro-

jektant limanowskiego kościoła, a poświadczył ks. kanonik Kazimierz Łazarzski. Świadectwo to dowód olbrzymiej roli i zaangażowania Jana Śmierciaka przy budowie limanowskiej świątyni.

W Przyszowej obok starego domu i spichlerza stała kuźnia, w której Jan Śmierciak wykuł krzyż na limanowską wieżę, sygnaturkę i kaplice. Powstało tu również wiele innych elementów naszego kościoła. Zachowały się narzędzia, którymi zdolny majster był w stanie wykonać prawie każde zadanie. Jest kowa-

dło, gwintownica, nitownica, młoty i szczypce kowalskie oraz narzędzia stolarskie, którymi wykonał drzwi do naszego kościoła. Przyglądając się im, zastanawiamy się, czy pasują do główek nitów i frezów limanowskich drzwi. Stypułowicze z budownictwem do dziś pieczołowicie zachowują rodzinne przekazy. Senior rodziny (wnuk Jana) rozpoczyna barwną opowieść. Kiedy dziadek szedł z rysunkami Mąceńskiego, spotkał znajomych gospodarzy. Jeden z nich z zaciekawieniem zapytał: *Janie, co wy tam macie. Ady to plany na krzyże do Limanowej na kościół - padła odpowiedź. Skomplikowana forma i techniczny opis zaniepokoił córkę - tato, jak wy to zrobicie.* Jan jednak lubił wyzwania i razem ze swoim synem Stanisławem wykonywał kowalską robotę. Kiedy już rozpoczął pracę, wołał na syna: *cufaj choć będziesz miechować w kuźni.* Stanisław biegł do ojca i przez kilka godzin wprowadzał w ruch kowalski miech. Taki był Jan Śmierciak zwany Spyrką.

Materiałem było żelazo, którego niewykorzystane kawałki później posłużyły do okucia kół chłopskich wozów. Bronisław Stypuła przypomina sobie w kuźni gruby pręt przechodzący w kwadrat, o którym wujek Stanisław mówił ... *to jest odpadek*



Strug Jana Śmierciaka z roku 1877 (widoczny napis), którego używał w pracach ciesielskich przy budowie limanowskiego kościoła.

od krzyża limanowskiego na kościele. Krzyż ze względu na rozmiary był wykonywany etapami. Na początku należało rozgrzać żelazo do białości. Robiło się wtedy plastyczne i można było przy pomocy młota i przecinaków nadać mu pożądaną kształt. Czynność wykonywano wielokrotnie i w miarę szybko. Podobno dobry kowal to taki, którego kowadło w czasie pracy jest cały czas ciepłe. Wspomina o tym Bronisław Stypuła. Kiedy babka przychodziła do kuźni siadała zawsze na kowadle. Pewnego razu zaciekawiony Jan zapytał żonę: *Cóż tak siedosz na tym kowadle ino tylko wejdiesz do kuźni – a ono, sprawdzom, czy coś dzisiaj robiłeś.*

Tak powstały misterne detale, wygięcia i łuki o przekroju kwadratu o wymiarach około 30 mm na 30 mm. Poszczególne elementy następnie należało trwale połączyć. W limanowskim krzyżu odnajdujemy dwa rodzaje łączeń. Pierwsze to zgrzewanie na gorąco zwane podgrzewką lub zgrzewką. Kowal końce formował w kształt klina, następnie pokrywał je gliną. Zapobiegało to utlenianiu metalu, który ponownie rozgrzewano do odpowiedniej temperatury, ale tak, aby się nie stopiło. Odpowiedni moment poznawano po tym, że końcówki zaczynały lekko iskrzyć. Elementy zespały uderzenia młota, tworząc spójną strukturę. Drugą metodą można nazwać nitowaniem. W ten sposób ramiona krzyża zostały przymocowane do środkowego okręgu. Kowal po oznaczeniu miejsc i jego rozgrzaniu przy pomocy przebijaka wykonał otwory początkowo okrągłe, później kwadratowe. Zamontowane a następnie zakute w nich końcówki ramion spowodowały widoczne spęcznienie materiału. Ukończony krzyż w skromnej wiejskiej kuźni musiał prezentować się okazale. Z troskana wcześniej córka uznała, że ojciec wykonał krzyż ładniejszy niż na rysunku. Aby go zabezpieczyć przed korozją, zastosowano starą i sprawdzoną metodę smolowania na gorąco. Do Limanowej z Przyszowej chodzono przez Berdychów, ale ze względu na rozmiary i ciężar wykonanego krzyża prawdopodobnie przewieziono go drogą zaprzężonymi do wozu wołami. Tu przy pomocy windy wciągnięto go na wieżę i osadzono. Rodzinny przekaz podaje, że dziadek na koniec usiadł na jego ramionach, demonstrując swoją odwagę i solidność wykonanej pracy. Po zejściu na dół dumny zdjął kapelusz, pozbierał niewielkie datki od przyglądających się ludzi. Za zebrane pieniądze w dowód uznania kupił



Nitownica z początku XX wieku do nitów łączących okucia dębowych drzwi kościoła.

swoim pracownikom beczkę piwa. Był wdzięczny ludziom i Bogu, że tak trudne i niebezpieczne zadanie udało się szczęśliwie ukończyć.

Jesteśmy w domu Kazimierza Wojtasa właściciela firmy Ekopromet. Mieszkańcom Limanowej znany jest między innymi jako wykonawca Krzyża Milenijnego na Miejskiej Górze. Mimo niedzielnej atmosfery widać zaangażowanie w powierzone zadanie renowacji krzyży. Dla pana Kazimierza Wojtasa to coś więcej niż kolejne zlecenie. Pokazuje nam fotografie i opowiada o demontażu, w którym brał udział. Przyznaje, że wyjazd windą na wysokość zegara i spojrzenie w dół na rynek robi wrażenie. Szacunek budzi osobiste zaangażowanie ks. proboszcza Wiesława Piotrowskiego, który nie bał się wysokości i fizycznej pracy. Przy pomocy lin opuszczono krzyż do windy i zwieziono na dół. Pierwsze oględziny pozwoliły ocenić jego stopień zachowania. Kazimierz Wojtas przyznaje *jest to majstersztyk sztuki kowalskiej. Przyglądając się detalom, dzisiaj trudnym lub nawet niemożliwym do odtworzenia, widać rękę doskonałego kowala.* Krzyż jak na swój wiek był w doskonałym stanie, szczególnie jego dolna część. Ślady korozji były przede wszystkim na górnych elementach. W zakładzie w Ujanowicach rozpoczęła się jego renowacja. Przydało się także doświadczenie i precyzja emerytowanego nauczyciela Czesława Bukowca. Każde kolejne działanie musiało być przemyślane.

Wykręcono zapieczone i zardzewiałe śruby, które dla bezpieczeństwa zdecydowano się wcześniej odciąć. Po śrutowaniu wykonanym w Bochni pojawiły się niewidoczne wcześniej ubytki na brzegach i rozwarstwienia metalu na łączeniach. Wyczyszczone i zaspawane po przeszlifowaniu stały się niewidoczne. Przy okazji tych prac odkryto kolejną ciekawostkę. Kilka łączeń na gorąco dla trwałości sto lat temu wykonano na jaskółczy ogon. Mimo że każde z nich były inne, wszystkie zostały doskonale spawane. Po starannym oczyszczeniu i wykonaniu niezbędnych prac limanowski krzyż trafił do Nowego Sącza. Tu firma Wiśniowski zabezpieczyła go cynkowaniem ogniowym i malowaniem proszkowym. Podobno gwarantuje to, że nawet za 200 lat bez żadnych dodatkowych zabiegów będzie w stanie nie gorszym niż dzisiaj. Czekać na jego powrót, przygotowane zostały różnego rodzaju detale. Jest ich zaskakująco dużo i każdy z nich wymagał współpracy wielu specjalistów i pomysłowości. Wykonane zostały dwie nowe śruby ze ślepymi nakrętkami służące do zamontowania krzyża do iglicy. Niebagatelnym problemem były niestosowane dzisiaj gwinty calowe Whitwortha. Przed oddaniem do cynkowania do krzyża przyspawano niewielkie płaskowniki. Będą one trwałą podstawą do zamontowania systemu odgromnika. Na jego szczycie znajdzie się pierwotny miedziany grot wykonany z niespotykanego dzisiaj stopu miedzi. Jeszcze więcej wysiłku wymagała rekonstrukcja niewielkich witraży wypełniających zakończenia ramion krzyża. Do naszych czasów na szczęście przetrwał jeden. Pozostałe przymocowane miedzianymi blaszkami nie wiadomo jak dawno wypadły. Na podstawie zachowanego elementu krakowska pracownia witraży Furdyna wykonała brakujące. Każdy z nich jest inny i pasuje tylko w swoim miejscu. Żeby sytuacja się nie powtórzyła, z blachy o grubości 3 mm przy pomocy lasera wycięto kształt nowego mocowania. Z jednej strony osadzone na stałe, z drugiej przykręcone do krzyża niewielkimi śrubami będą solidne i nie zaburzy to całej kompozycji.

Limanowski krzyż odkrywa przed nami coraz więcej swoich tajemnic. Zaintrygowani tematem przeszukujemy redakcyjne archiwum. Wśród wielu fotografii odnajdujemy cyfrową reprodukcję planów kościelnej wieży. Na niebieskim tle białe linie, dane techniczne, rzuty i przekroje. Karton podpisany: architekt Zdzisław Mączyński, Warszawa 12 stycznia 1914 r. Wymiary głównego ▶

Krzyż woła: W górę serca

Ks. Stanisław Wojcieszak

► krzyża: wysokość 2,45 m, szerokość 1,8 m odbiegają od tych rzeczywistych. Kazimierz Wojtas podaje, że limanowski krzyż ma wysokość 2,7 m, szerokość 1,8 m i waży 96 kg. Nie wiemy czy zmiana proporcji była decyzją Jana Śmierciaka, czy może architekta. Mamy jego odręczną notatkę zrobioną granatowym ołówkiem: *szczegóły krzyża naturalnej wielkości na osobnym arkuszu*. Być może to o nich wspominał Bronisław Stypuła. Wiemy natomiast, że to Mączyński zrezygnował z wypełnienia środkowego okręgu. Czerwonym kolorem zostały wykreślone te elementy z dopiskiem: *środek pusty jak na detalu*. Analizując sposób montażu, również dostrzegamy różnicę z planami. Architekt chcąc uzyskać odpowiednią sztywność przy zachowaniu lekkości, proponował zastosowanie kątowników. Wiemy, że krzyż był przykręcony dwoma dużymi śrubami do metalowego okrągłego pręta o średnicy około 60 mm, którego koniec został spłaszczony. Przechodząc przez kulę, dociera do drewnianej konstrukcji helmu wieży. Mimo naszych starań nadal pozostaje wiele pytań. Krzyż z wieży limanowskiego kościoła dotąd niedostępny i górujący nad miastem, odkrywając swoje szczegóły i historię, stał się bliższy. Jesteśmy mu wdzięczni za sto lat opieki nad miastem i jego mieszkańcami.

W nieznanym nam jeszcze przyszłości, być może 1 sierpnia 2113 roku, ktoś ponownie otworzy tym razem pozostawioną przez nas wiadomość. Świadkiem jakich wydarzeń będzie żelazny krzyż, symbol naszej i naszych przodków wiary? Czy zaklęty w kuli przekaz pokoleń będzie trwał?

PS. Wizja lokalna na rusztowaniach konserwatora krzyża limanowskiej świątyni Kazimierza Wojtasa w obecności Władysława Sowy, pozwoliła ustalić, że na cyferblacie zegara na wieży kościoła od strony północnej znajdują się trzy otwory. Otwory te są skutkiem przebiecia tarczy zegara przez pociski karabinowe, jak okazuje się z okresu II wojny światowej. Otwory te są w cyfrach wyznaczających godziny: 12, 14, 15. To kolejna zagadka naszej świątyni, którą warto także się zająć.

Wyrażamy serdeczne podziękowanie za podzielenie się informacjami o limanowskim krzyżu Panom: Bronisławowi Stypule – wnukowi Jana Śmierciaka oraz Kazimierzowi Wojtasowi – rekonstruktorowi limanowskiego krzyża.

Stanisław Król i Stanisław Ociepka

Fotografie: Stanisław Ociepka, archiwalne Klementyna Zubrzycka



Zwieńczenie kościoła z widokiem od strony prezbiterium.

Rok 313 to data szczególnie w historii Kościoła. Przez prawie trzy wieki trwało prześladowanie wyznawców Chrystusa. Oblicza się, że w tym czasie poniosło śmierć 6 mln 300 tysięcy chrześcijan. Dopiero w 313 roku w Mediolanie cesarz rzymski Konstantyn Wielki wydał edykt (Edykt Mediolański) zabraniający stosowania represji wobec chrześcijan. Zniósł także formalnie karę ukrzyżowania. Zanim doszedł do pełni władzy w cesarstwie, toczył walkę ze swym konkurentem Maksencju-

szem. Konstantynowi miał się ukazać na niebie krzyż. Usłyszał także słowa: *W tym znaku zwyciężysz*. Gdy zwyciężył Maksencjusz przy moście Mulwińskim na Tybrze w Rzymie (28 października 312 r.), wraz ze swoją matką św. Heleną popierał chrześcijaństwo. Św. Helena przyczyniła się do odnalezienia w 326 roku drzewa krzyża, na którym umarł Chrystus oraz do wybudowania na Golgocie w Jerozolimie monumentalnej podwójnej bazyliki Świętego Krzyża i Zmartwychwstania Pańskiego.

Na pamiątkę jej poświęcenia w 335 r. ustanowiono *Święto Podwyższenia Krzyża Świętego* obchodzone do współczesnych czasów - 14 września. W 614 roku pogański król perski Chozroes najeżdżał na Palestynę, wymordował wielu chrześcijan i zabrał przechowywane w Jerozolimie relikwie krzyża świętego. W 628 roku cesarz Herakliusz odebrał je z powrotem. Na pamiątkę tego ustanowiono *Święto Znalezienia Krzyża Świętego* obchodzone w świecie 3 maja, a w Polsce po wprowadzeniu w tym dniu w 1923 r. *Uroczystości Królowej Polski* - 4 maja. W Starożytności krzyż był znakiem karni dla przestępców, zwłaszcza niewolników. Od śmierci Chrystusa stał się on dla chrześcijan symbolem zbawienia i znakiem wiary w Chrystusa i miłości do Niego. Od 1700 lat, czyli od Edyktu mediolańskiego, krzyż odbiera szczególną cześć. W ikonografii przedstawiony on jest w ponad 30 formach. Najbardziej popularny jest tzw. krzyż łaciński, który charakteryzuje przedłużona dolna belka.

Ku czci Chrystusowego Krzyża wzniesiono w świecie niezliczoną ilość świątyń. Także i w Polsce. Od sanktuarium Świętego Krzyża na Łysej Górze koło Kielc wzięły nazwę Góry Świętokrzyskie. Polska przez swoją historię jest szczególnie związana z krzyżem. Mówi o tym także Krzyż Milenijny znajdujący się przed frontową ścianą bazyliki limanowskiej postawiony w 1966 roku dla upamiętnienia wydarzeń. Zostały one zapisane po czterech stronach na cokole krzyża. *Zbawicielowi w 1000-lecie Chrztu Polski (966-1966); Parafii na upamiętnienie Misji (23 IV-11 V 1966); Matce Bolesnej w Roku Koronacji (11 IX 1966); Miastu w 400-lecie założenia (1565-1965)*. Nad łukiem bramy, która prowadzi na plac przykościelny na kamiennej kuli umieszczony jest metalowy krzyż. Także w centrum ołtarza polowego jest krzyż z wizerunkiem Chrystusa oraz figury Matki Boskiej i św. Jana. W okresie rozbiorów, Limanowa wpisała się chlubnie w ojczyzną historię, wznosząc krzyż w 1910 r., w 500. rocznicę bitwy pod Grunwaldem. Jest to tzw. Krzyż Grunwaldzki usytuowany przy drodze na Lipowe.

W roku 1999 z racji Wielkiego Jubileuszu Odkupienia wybudowano nad Limanową (na Miejskiej Górze) monumentalny Krzyż Jubileuszowy o wysokości 37m. Jego wykonawcą jest Kazimierz Wojtas, właściciel firmy Ekopromet.

W wydanej z tej okazji pamiątkowej książce: *Krzyż bramą w trzecie tysiąclecie* jest rozdział zatytułowany: *Limanowa w ramionach Krzyża*. O tej prawdzie przypominają wspomniane krzyże, a także i te górujące nad limanowską bazyliką. W 2013 r. staraniem proboszcza parafii ks. Wiesława Piotrowskiego dokonano gruntownego i historycznego remontu wieży i frontowej ściany tej świątyni. Pracami konserwatorskimi i renowacyjnymi objęto także krzyż na wieży oraz nad wejściem głównym. Odnowiła je firma Kazimierza Wojtasa. Dobrze się składa, że prace te wykonane są w roku 1700 rocznicy Edyktu Mediolańskiego. Godzi się też snuć na łamach „Echa Limanowskiego” refleksje nad krzyżami w limanowskiej bazylice.

Gdy w 1995 roku wznoszono w parafii w Ochotnicy Dolnej, w przysiółku Młynne, świątynie ku czci Matki Boskiej Jasno-górskiej, nierdzewny krzyż na wieżyczkę oraz nad prezbiterium wykonał Kazimierz Wojtas. Wtedy też zwrócono uwagę na krzyż górujący nad limanowską bazyliką. One to stały się inspiracją do dalszych prac pana Kazimierza, który oprócz wspomnianego Krzyża Jubileuszowego na Miejskiej Górze w Limanowej, wykonał podobne, choć mniejsze na wzniesieniach Bałazówka (2000 r.) i Paproć (2001 r.).

W wydanej w 1959 r. książce: *Sztuka sakralna* jej autor Chwalisław Zieliński pisze tak: *Ogólnym zwyczajem jest umieszczanie na szczycie wieży krzyża z metalu lub kamienia. Krzyż metalowy w porównaniu do wieży ma znaczną wysokość przez to dużą wagę. To po-*

ciąga za sobą konieczność specjalnie starannego mocowania krzyża, biorąc pod uwagę uderzenia wiatru burzowego na znacznej wysokości. Powierzchnia krzyża w prostych liniach stanowi opór potrójnie obliczonej siły wiatru burzowego, tj. około 100 m/s. Krzyże żelazne bywają zazwyczaj umocowane za pomocą 4 sztab żelaznych, mocno spojonych z dolnym końcem krzyża i przyśrubowanych do helmu, przy czym długość umocowań musi wynosić najmniej 1/3 wysokości krzyża. Należy dbać o szczelne i pewne przykrycie otworu (w helmie wieży) kłapami z ołowiu lub miedzi (...). Sprawą architekta jest znalezienie najlepszego rozwiązania zakończenia (zwieńczenia) szczytu wieży; czy krzyż ma być kuty ręcznie, czy też odlany w metalu, z kulą czy bez. Należy jeszcze zaznaczyć, że złączenie za pomocą galwanizacji lub ognia nie wytrzymało prób na takich wysokościach, raczej należy pokryć złączenie mocnym złotem listkowym, które się nakłada po 2-3 krotnym gruntowaniu minią i zabezpieczyć najlepszym werniksem. Poza tym należy pamiętać o instalacji piorunochronnej - (str. 74- 75).

Wszystkie te uwagi zastosowano przy wykonaniu krzyża na wieży czy w innych miejscach dachu limanowskiej bazyliki. Prace te wykonano jak najlepiej i z najlepszego materiału. Wieża limanowskiej świątyni ma ponad 60m wysokości. Nad cebulastym hełmem z latarnią jest metalowa poślaczana kula, do której według zwyczaju, włożono do butelki dokument napisany piórem przez ks. Kazimierza Łazarskiego w 1917 roku. ▶



Widok na krzyże bazyliki od strony południowej.



Grupa Ukrzyżowania na frontonie kościoła.

► Informuje on o czasie budowy świątyni i wykonania krzyża. Krzyż na wieży, podobnie jak inne zaprojektował architekt Zdzisław Mączyński. Krzyż ten ma 270 cm wysokości i 180 cm szerokości, waży 96 kg. Wykonał go Jan Śmierciak z Przyszowej. Zrobiony jest ze stalowego pręta o profilu kwadratowym i wymiarach 32 x 32 mm. Natomiast ozdoby są wykonane z płaskownika o przekroju prostokątnym i wymiarach 32 x 10 mm. Końce ramion są sklepane i po mistrzowsku wygięte. Ramiona są podwójne, półkoliste. Na ich przecięciu jest hostia, z półkolistymi, w formie rozety promieniami. Na uwagę zasługuje bardzo bogate zakończenie ramion bocznych i górnego ozdobnymi kolorowymi szybkami i gomółkowym szkłem w środku. Na zwieńczeniu ramienia głównego jest spicz piorunochronny wykonany ze specjalnego stopu miedzi.

Oprócz krzyża na wieży limanowskiej bazyliki są na jej dachu jeszcze trzy inne krzyże metalowe i trzy miedziane monogramy. Nad ścianą frontową umieszczony jest metalowy krzyż poddany gruntownej konserwacji w 2013 r. Ma on 210 cm wysokości i 140 cm szerokości, waży 64 kg. Zrobiony jest z płaskownika o wymiarach 45 x 15 mm, a ozdoby z pręta kwadratowego o wymiarach 20 x 20 mm. Choć równie bogaty jak krzyż wieżowy odbiega wyglądem od niego. Posadzony jest na kuli. Na skrzyżowaniu ramion jest hostia z monogramem IHS otoczona dwunastoma promieniami zakończonymi serduszkami. Natomiast ramiona krzyża mają kształt koniczyny.

Trzeci krzyż góruje nad baniastym hełmem sygnaturki, a czwarty nad prezbiterium. Są one również z metalu i podobne

do krzyża nad ścianą frontową. Pisząc o krzyżach z naszej świątyni, nie sposób pominąć zwieńczenia innych miejsc jej dachu. Otóż nad zakończeniem nawy jest umieszczony na kuli okrągły monogram z inicjałami IHS i ozdobą na górze. Natomiast nad kaplicą Serca Jezusowego i św. Antoniego są dwa podobne do siebie miedziane odlewy w kształcie promienistego słońca oraz monogram MARIA.

Oprócz krzyży i detali metalowych nad bogatym architektonicznie i rzeźbiarsko wejściem głównym, jest kamienny krzyż z okrągłą rozetą na przecięciu ramion. Osadzony on jest na kuli ziemskiej wykonanej z kamienia. Powyżej natomiast, na zwieńczeniu ściany frontowej wyrzeźbiony jest w kamieniu potężnych rozmiarów krzyż z ekspresyjnym wizerunkiem Ukrzyżowanego oraz adorującymi Go dwoma aniołami. Rzeźba ta, jak opisuje w monografii: *Bazylika Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej* Józef Szymon Wroński, została odkuta z jednego monolitycznego piaskowca przez Franciszka Stycznia i Ignacego Szwarznowieckiego (str. 93).

Pisząc o krzyżach na zewnątrz limanowskiej bazyliki, trzeba też wspomnieć o niektórych znajdujących się wewnątrz. Szczególne wrażenie wywołuje krzyż na tarczy oddzielającej nawę główną od prezbiterium. Krzyż z rzeźbą Chrystusa postawiony jest na globie ziemskim otoczonym ciemną koroną oraz promieniami. Rzeźbę zaprojektował Zygmunt Otto z Warszawy, a wykonał w drewnie Władysław Druciak z Krakowa. Na uwagę zasługuje też witraż w prezbiterium z krzyżem ze św. Kazimierzem oraz krucyfiks w kaplicy Świętych Relikwi. Przy wejściu do świątyni pod wieżą jest również dużych rozmiarów krzyż, ludzie całują go i żegnają się.

Krzyże w limanowskiej bazylice mają szczególne odniesienie nie tylko do Chrystusa, ale i czczony tu Piety. Ewangelista Jan pisze: *Obok krzyża Jezusowego stała Matka Jego.* (J19,25)

W ciągu dwóch tysięcy lat chrześcijaństwa różne było odniesienie do krzyża. Był bardzo czczony, ale i znieważany. W latach PRL wielokrotnie przeprowadzono akcje „dekrucyfikacyjne”. Podobne tendencje są i dziś. W 1997 r. bł. Jan Paweł II, stojąc pod Giewontem w Zakopanem, wołał do rodaków: *Brońcie Krzyża.*

Choć dzieje ludzkie są różne *Krzyż trwa, choć zmienia się świat.* Zatrzymując się zaś przed limanowską bazyliką, czy wchodząc do niej, nasuwa się spostrzeżenie: *Patrz w górę, a zobaczysz tu piękno krzyża.*

Fotografie: Józef Staniszewski, Karol Wojtas

Oni piszą do

„Echa Limanowskiego”

*Jesteśmy stąd, jesteśmy stąd
Nad nami nasze gniazda
I każdy kąt znajomy tu
I grudka ziemi każda.*



Współpracownicy „Echa Limanowskiego” uhonorowani tytułem i medalem „Przyjaciel Miasta Limanowa”. Od lewej: prof. Andrzej Kulig, Zofia Wiśniewska, Irena Grosicka - przewodnicząca Rady Miasta, dr Józef Szymon Wroński, Stanisław Król.
Fot. Leopold Kucharczyk

Podczas oficjalnej inauguracji Dni Limanowej, 9 sierpnia br. zostali uhonorowani tytułem i medalem „Przyjaciel Miasta Limanowa”: *Tomasz Baranowski* – podróżnik, maratończyk, współorganizator Międzynarodowego Ekstremalnego Maratonu Pieszego (MEMP) „Kierat”, *Bogdan Juszkiewicz* – artysta, działacz społeczny, *Józefa Kazior* – nauczycielka artystka, *Stanisław Król* – historyk, publicysta, działacz społeczny, *Andrzej Kulig* – prof. Uniwersytetu Warszawskiego, badacz, publicysta, podróżnik, *Jadwiga Postrożny* – solistka operowa, *Julian Ryndak* – artysta, *Stanisław Reciak* – artysta, *Andrzej Sochoń* – pomysłodawca i sędzia główny (MEMP) „Kierat”, *Zofia Wiśniewska* – pisarka, etnograf, ludoznawca, publicystka, działaczka społeczna, *Marta Wilk* – artystka, wokalistka. Tytułem i medalem „Za zasługi dla Miasta Limanowa”: *Józef Leśniak* – kombatan, porucznik AK, *Franciszek Lupa* - działacz społeczny, *Andrzej Pilawski* – dyrektor (MEMP) „Kierat”, *Ryszard Sikora* – dziennikarz Polskiego Radia i TVP, *Józef Szymon Wroński* – dr historyk sztuki, publicysta. Z różnych przyczyn odznaczeń nie odebrali: *Tomasz*

Baranowski, Ryszard Sikora oraz Andrzej Pilawski. Spośród grona odznaczonych szczególnie bliskimi dla „Echa Limanowskiego” są: **Pani Zofia Wiśniewska** oraz Panowie: **prof. Andrzej Kulig, dr Józef Szymon Wroński**, a także **Stanisław Król**.

Do nich to właśnie skierowaliśmy pytanie: *Zostaliście Państwo uhonorowani przez Radę Miasta Limanowa zaszczytnymi tytułami i medalami w dowód uznania za wsparcie miejskich przedsięwzięć służących promocji i rozwojowi Limanowej. Jedną z form tej promocji są Wasze artykuły od wielu lat publikowane na łamach „Echa Limanowskiego”. Proszę więc Czytelnikom naszego dwumiesięcznika powiedzieć, co motywuje Państwa do tworzenia tego rodzaju publicystyki?*

Stanisław Ociepka

„Mgły pamięci” - co zapisane to przetrwa

Moja przygoda z „Echem Limanowskim” zaczęła się przypadkowo. Zbliżała się 100. rocznica urodzin mego wuja Wincentego Gawrona, którą Polonia w Chicago chciała godnie uczcić i zamieścić w polskiej polonijnej prasie obszernie wspomnienia o artyście i jego ostatnim dziele, jakim były grafiki *Polskiej Drogi Krzyżowej*. Jego córka urodzona i wychowana w USA nie potrafiła objaśnić tego dzieła, gdyż jej znajomość historii Polski była niewielka. Dlatego poprosiła mnie o pomoc. Tak więc napisałam rys biograficzny o wuju i dokonałam interpretacji cyklu tychże grafik, które zawierają głęboką symbolikę cierpienia narodu polskiego w czasie II wojny światowej. Opracowanie przesłałam do USA, a kuzynka przekazała Stowarzyszeniu. Kopię tego opracowania przesłałam także rodzinie mieszkającej w Polsce, a więc również do Limanowej. Córka mojej kuzynki, Alicja Gawron, postanowiła zainteresować tym opracowaniem limanowską prasę. Pozytywnie na propozycję odpowiedziała redakcja „Echa Limanowskiego” i w konsekwencji ukazał się artykuł mojego autorstwa pt: *Golgota Narodu Polskiego w grafikach Wincentego Gawrona* nr 182 -183, listopad – grudzień 2009 r. Był to początek mojej współpracy z „Echem”, który trwa do tej pory.

Ogromnie się cieszę, że mogę publikować swoje artykuły na łamach tego dwumiesięcznika i mogę wypowiadać się na jego łamach o ludziach, którzy wpisali się w krajobraz tego urokliwego miasteczka, „odcisnęli” w nim swój ślad i niestety odeszli zgodnie z koleją losu. Niektórzy pozostają jeszcze w pamięci potomnych, o innych zapomniano, bo odeszli nie tylko oni, odeszła cała epoka.

Należało koniecznie utrwalic ich dobre czyny. Było to zbieżne zdanie zarówno redakcji „Echa” jak również mojej skromnej osoby. Aby to zrealizować, był na to jeden sposób. Zapisać to, co pozostało w pamięci, zatrzymać w ten sposób w kadrze. Co zapisane to przetrwa, można będzie do tego powrócić nawet po latach.

Tak wielką pracę utrwalania „mgieł pamięci” o limanowianach i przeszłości miasta wykonuje „Echo Limanowskie” i ja od przeszło czterech lat włączam się w ten łańcuch wspomnień. Dlatego staram się pomagać w tym dziele, pisząc o tym co wiem, co pamiętam, co mi przekazano i co sama przeżyłam.

Piszę o różnych osobach, także i o swoich przodkach po kądzieli, o podjabłonieckich Gawronach, którzy związali swój los z Limanowszczyzną od prawie 300 lat i wiele wnieśli do jej historii.

Mieszkam w Bochni i to jest moje miasto z wyboru, ale urodziłam się w Limanowej, tu spędziłam lata dzieciństwa i młodości, które przypadły na okrutne lata okupacji hitlerowskiej. Tutaj zdałam egzamin dojrzałości (1951 r.) z klasą, która właściwie była pierwszym powojennym rocznikiem, jaki w „normalnym” wieku szkolnym zdał egzamin maturalny, dlatego tutaj pozostała połowa mojego serca.

Zofia Wiśniewska

Limanowa – Bochnia, 30 sierpnia 2013 r.

(...) ta ziemia jest bliższa od innych*

Na początek pragnę powtórzyć to, co powiedziałem odbierając tytuł i medal „Przyjaciół Miasta Limanowa” podczas uroczystego otwarcia „Dni Limanowej 2013” – jest ono dla mnie ważnym, a zarazem bardzo miłym dowodem na wciąż żywy kontakt z moim rodzinnym miastem. Dziękuję Radzie Miasta Limanowa za to wyróżnienie.

A odpowiadając wprost na postawione pytanie, mógłbym stwierdzić – nie wiem. Bo przecież, co prawda, urodziłem się w Limanowej, ale pozostałem w niej „tylko” przez 15 lat, a następnie wyjechałem do Marcinkowic, później do Warszawy, aby się kształcić. Może jednak okres dzieciństwa spędzonego w domu rodzinnym i w Szkole Podstawowej Nr 1 w Limanowej wytworzył bogate „pokłady zasobów naturalnych”, z których czerpię swoją życiową energię. Zaszczepił ciekawość, która pcha mnie w nieznanne rejony świata i wiedzy, ale zapuścił również korzenie, które każą mi wracać do Małej Ojczyzny, rozumianej jako przestrzeń wyznaczona miejscem urodzenia. Będąc aktywnym zawodowo nauczycielem akademickim i badaczem (zajmuję się inżynierią środowiska), „cierpię” na stały brak czasu. Więc współpraca z „Echem Limanowskim” w moim przypadku to nie pomysł na zagospodarowanie wolnego czasu, ale konieczność jego wygospodarowania. Nad moim biurkiem jest wypisana myśl Golo Manna (1909-1994): „...naucz się odróżniać to, co ważne, od tego, co pilne”. Widocznie limanowskie echa są wciąż dla mnie ważne.

- Co motywuje do aktywności publicznej w Limanowej?

Powodów jest pewnie kilka. Chyba jednak nie tylko sentyment oraz urok beskidzkich krajobrazów. Raczej, parafrazując niezapomnianego K. I. Gałczyńskiego, jest to chęć ocalenia od zapomnienia historii ludzi i miejsca, w którym żyli, np. w klimacie limanowskiego ogrodu (ZACHOWANE W PAMIĘCI I DOKUMENTACH... LIMANOWSKIE ŚLADY W WARSZAWIE). Reportaże podróżnicze (PODRÓŻE MAŁE, PODRÓŻE DUŻE) to z kolei próba dzielenia się z Czytelnikami doświadczeniem, wiadomościami, ale i emocjami. Docierają do mnie informacje, że istnieje grono wiemych Czytelników, którzy śledzą publikacje na temat turystyki wysokogórskiej i krajoznawczej. Dzięki tym reportażom „EL” trafia także do szeregu grona odbiorców, m. in. współuczestników wypraw z różnych stron Polski (np. Białegostoku, Gliwic, Warszawy), a także za granicę (np. do Australii, Kanady, Peru).

I w końcu muszę podkreślić, jak ważnym argumentem za tą formą aktywności jest fakt, że mam przyjemność współpracować z niezwykle zaangażowanymi Redaktorami „Echa Limanowskiego”. Ponieważ żyję częściowo z pisania, więc wiem co piszę. Dwumiesięcznik „EL” jest redagowany na bardzo dobrym, profesjonalnym poziomie, a fakt utrzymywania się na trudnym rynku wydawniczym przez ponad dwadzieścia lat jest tego najlepszym dowodem. Czuję się więc zaszczycony, mogąc współpracować z zespołem bardzo wartościowych i twórczych osób – Przyjaciół Ziemi Limanowskiej.

Przy okazji bardzo serdecznie dziękuję za blisko 15-letnią owocną współpracę Redakcji „Echa Limanowskiego”. Podziękowania kieruję także do mojej żony Haliny oraz córki Ani i syna Pawła, którzy wspierają mnie w realizacji tych limanowskich „przedsięwzięć”.

Andrzej Kulig

Limanowa – Warszawa, 31 sierpnia 2013 r.

* Tak napisałem w pierwszym liście do Redakcji „Echa Limanowskiego” („EL” Nr 68, Rok VII, s. 22, październik 1999 r.).

(...) moje serce mój umysł i słowa są dla Ciebie

Zgodnie ze staropolskim przysłowiem *każdy tam ciągnie, gdzie się ulegnie, bo tam stoi rodziny dom, a w nim nad moją kolebką Matka się schyla i mówić pacierza wcześniej nauczała, Ojciec Nasz i Zdrowaś i Skład Apostolski, bym do samej śmierci kochał naród polski, a teraz z proga [Matka] woła do wieczery, a dzwonek z wieży do pacierzy.*

Dlaczego więc myślami, czynami, a przede wszystkim słowami, czyli w naszych artykułach publicystycznych, wracamy do rodzinnego miasta?;

- Między innymi dlatego, że wracamy do lat dzieciństwa, bo dzieciństwo to jedyny czas w życiu, kiedy otrzymaliśmy bezinteresowną miłość Rodziców – Matki i Ojca, kiedy czuliśmy się bezpieczni i nie poznaliśmy jeszcze zła tego świata, czyli czuliśmy się tak, jak Pierwsi Rodzice w Raju, kiedy nie zjedli jeszcze owocu z Drzewa Wiadomości Dobrego i Złego;

- Między innymi dlatego, że w tym mieście *wszystko się zaczęło*: tu nauczyliśmy się mówić, pisać i czytać, poznaliśmy prawa życia, a także prawa fizyki i ekonomii, więc spłacamy dług wdzięczności zaciągnięty względem Rodziców, Rodzeństwa, Nauczycieli i Profesorów, którzy wpajali nam prawdy, zasady, reguły i przykazania, które określiły naszą osobowość, ale też uczyli nas przystosować się do życia pośród zła i dobra tego świata;

- Między innymi dlatego, że w tym pięknym mieście, któremu Pan Bóg piękności nie poskąpił, stoją tak wspaniałe budowle, jak Bazylika Limanowska z Naszą Ukochaną Panią Limanowską czy dwór Marsów, a w nich tyle wspaniałych zabytków. Oswajając je sobie, poznając ich uroki, pisząc artykuły i książki na ten temat, chcemy się tą wiedzą dzielić z Rodakami i z nimi radować, by zabytki naszej rodzimej kultury ocalić do zapomnienia i zachować je dla naszych pokoleń. Chwaląc to miasto ustami, poznając je umysłem, kochamy je głęboko sercem, gdyż jest ono dla nas nieopisanym skarbem, a wiadomo, *gdzie skarb Twój, tam serce Twoje*. Miasto nasze jest więc jak źródło żywej wody, do którego dążymy jak znużony i spragniony wędrowiec: gdy zaczerpnie wody z tego źródła, czuje się pokrzepiony i może iść dalej. Na zakończenie powtórzę słowa znanej piosenki Wesolej Lwowskiej Fali, parafrazując je: *Że gdybym raz jeszcze urodzić się miał, to tylko w Limanowej*.

Dziękując za odznaczenie, jestem niezwykle szczęśliwy i czuję się zaszczycony wyróżnieniem, które mnie spotkało, tym bardziej, że dotyczy ono sprawy mi bliskiej, jak moje miasto ukochane. Gdybym mieszkał na wschodzie, to zgodnie z tym samym obyczajem witałbym Limanową zawsze słowami: *moje serce, umysł i słowa są dla Ciebie*, witałbym ją dotykając palcami serca, ust i czoła, a ponieważ mieszkam na Zachodzie mówię i czynię to samo jedynie w odwrotnym kierunku: *mój umysł, słowa i serce są dla Ciebie* [moje miasto ukochane], bo moje serce, mimo pracy i zamieszkania gdzie indziej, jest w Limanowej i dla tego miasta bije i ono zawsze kieruje moimi myślami i podpowiada mi, o co mam dla mojego miasta walczyć i co mam napisać do „Echa Limanowskiego”, z którym jestem związany już tyle lat i dzisiejsze odznaczenie jest po części i poniekąd efektem tej wieloletniej współpracy.

Wyrażając wdzięczność za zaszczytny tytuł i medal „Za Zasługi dla Miasta Limanowa”, jeszcze raz bardzo dziękuję Redaktorowi „Echa Limanowskiego”, który mnie zauważył i moją kandydaturę wysunął, Panu Radnemu, który – zgodnie z procedurą – moją osobę zgłosił, a Radzie Miasta z Jej Przewodniczącą na czele, za jej zaakceptowanie, czyli za honor, jaki mnie spotkał. Moi Kochani i Szanowni Państwo! Wielkie dzięki za ten zaszczytny tytuł, który zobowiązuje mnie jeszcze bardziej, by być honorowym ambasadorem Limanowej.

Józef Szymon Wroński

Limanowa – Kraków, 15 września 2013 r.

Stanisław Król

Zajmowanie się historią skłania do refleksji

Przed wszystkim jestem mile zaskoczony, że to co robię uznane zostało za godne wyróżnienia. Bardzo za to dziękuję. Znalazienie się w gronie tak szacownych postaci jest dla mnie zobowiązaniem.

A dlaczego czasami coś napiszę? Pracując jako nauczyciel, cenię wiedzę oraz umiejętność mówienia w sposób zrozumiały i uporządkowany. Zdaję sobie również sprawę z wagi słowa pisanego. Mimo pewnych obaw, jakiś czas temu zostałem przekonany do zmierzenia się z tym wyzwaniem. W ten sposób rozpoczęła się moja przygoda z odkrywaniem naszej historii. Dostępne źródła i moja własna pamięć były oczywiście niewystarczające. Współpraca z „Echem Limanowskim” dała mi możliwość poznania wielu nieznanych śladów naszej przeszłości. Były to często niepublikowane dokumenty i fotografie oraz relacje i opinie świadków historii. Ich utrwalanie to szczególnie ważne zadanie, ponieważ wraz z ludźmi są bezpowrotnie tracone. Nie da się zrozumieć lokalnej społeczności bez poznania czynników, które ją kształtowały. Te z kolei nie zawsze można uchwycić, analizując jedynie archiwa. Zajmowanie się historią może naprawdę bawić, dawać satysfakcję i skłaniać do refleksji. Wydaje się, iż w Limanowej wiele osób związanych z prasą lokalną ma podobne zdanie. Są ludzie, którzy z pasją i determinacją inicjują różne działania, które wpisują się w trend poszukiwania własnej tożsamości w zglobalizowanym świecie. Dyskusja i praca z nimi to kolejny niewątpliwie przywilej w czasie tworzenia tego rodzaju publikacji. Odpowiadając na postawione pytanie, ironizując trochę ze współczesnego systemu wartości, powiem – to się opłaca.

Stanisław Król

Limanowa, 15 września 2013 r.

Serdecznie dziękuję za wyrażenie własnych refleksji i podzielenie się nimi z Czytelnikami „Echa Limanowskiego”, a także przybliżenie sensu uprawiania przez Państwa tego rodzaju publicystyki, która wzbogaca zawartość naszego dwumiesięcznika, czyniąc go wartościowym i ciekawym źródłem wiedzy o społeczności lokalnej, nie tylko na limanowskim rynku wydawniczym.

Stanisław Ociepka

Ocalony dorobek przeszłych pokoleń

Stanisław Ociepka

Okruchy pamięci – albumy archiwalnych fotografii o Limanowej, „historii obrazem pisanej”, którym poświęciłem pięć lat pracy wydały wiele cennych owoców. Jednym z nich jest *Izba pamięci limanowskich farmaceutów: Müllerów – Zubrzyckich – Bączkowskich*.

Po przeszło roku od przekazania pamiętek przez Jana Postawę (kuzyna Krystyny Bączkowskiej – Cynke), jedynego spadkobiercę majątku limanowskich aptekarzy, 4 października br. otwarta została *Izba pamięci* w Muzeum Regionalnym Ziemi Limanowskiej. Zwiędzającym udostępniono ciekawe i wartościowe pamiątki związane z limanowską pięciopokoleniową rodziną farmaceutów. Dla dobra kultury Limanowej było to ważne wydarzenie, bowiem został ocalony dorobek przeszłych pokoleń, świadectwo naszej tożsamości społecznej.

O projekcie stałej ekspozycji w postaci *Izby pamięci* informowałem Czytelników „Echa Limanowskiego” w roku ubiegłym w artykule „*Izba pamięci limanowskich aptekarzy*” (nr 216 – 217,



Portret Klementyny Zubrzyckiej-Bączkowskiej, w tle ekspozycja szklanych naczyń aptecznych.

wrzesień – październik). Przeciagający się czas przygotowania wystawy w pewnym sensie okazał się korzystny dla historycznej prawdy i został wykorzystany do uporządkowania, poszerzenia i głębszego poznania tej zasłużonej dla społeczności limanowskiej rodziny, o czym w dalszej części artykułu.

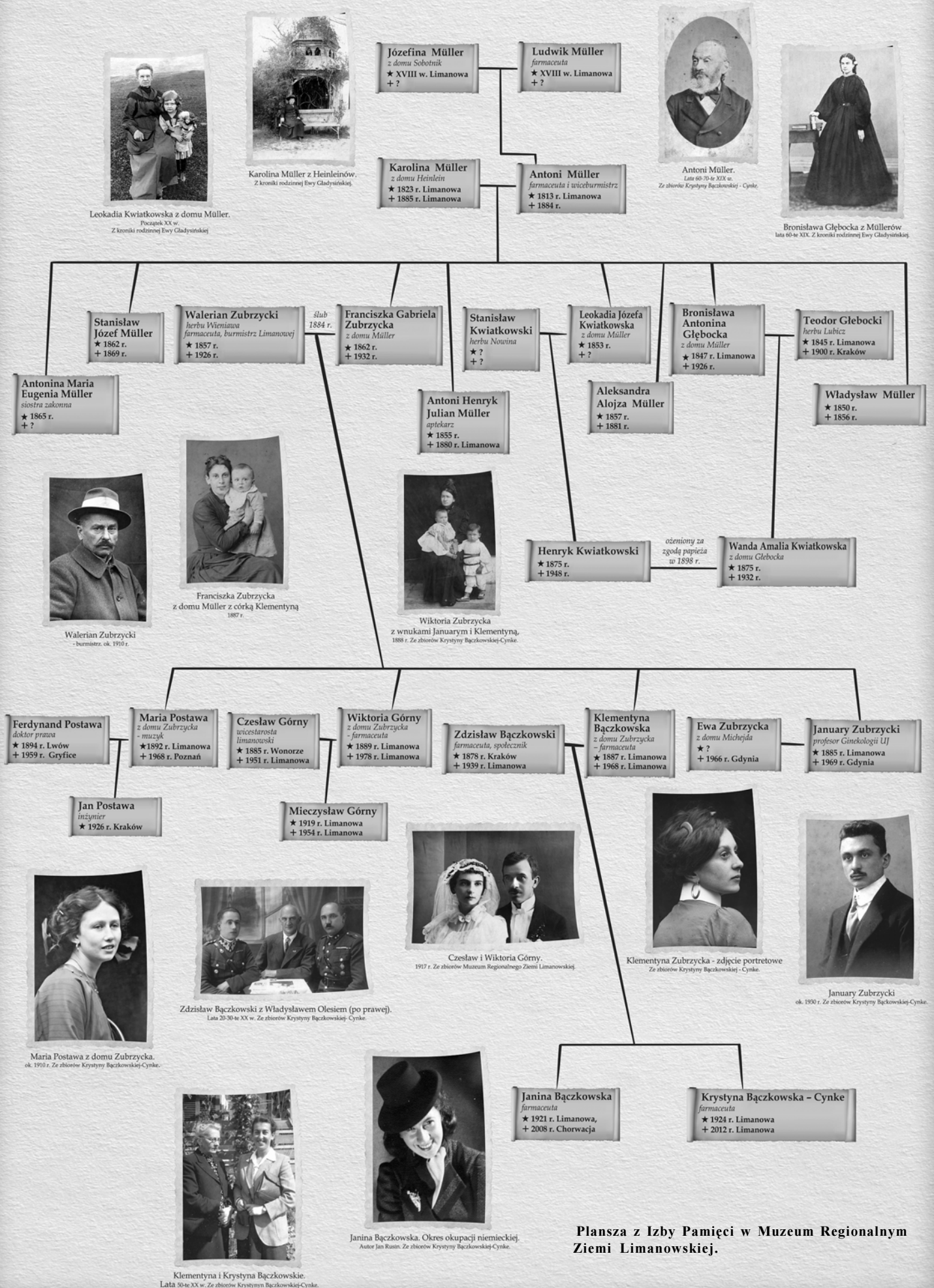
Dotychczasowe źródła wiedzy opisujące dzieje limanowskich farmaceutów głównie oparte były na wspomnieniach pani mgr farm. Krystyny Bączkowskiej – Cynke, ostatniej z rodu limanowskich farmaceutów, która zmarła 22 maja 2012 roku. To dzięki Jej wspomnieniom powstało wiele szkiców dotyczących rodziny limanowskich aptekarzy, które ukazały się zarówno na łamach „Echa Limanowskiego”, jak i w książce opisującej dzieje tej rodziny autorstwa dr. Macieja Bileka zatytułowanej: *Apteki i aptekarze południowej Małopolski do 1951 roku*, w rozdziale: *Historia apteki „Pod Gwiazdą” w Limanowej* na str. 303 – 325. W następstwie dalszych poszukiwań okazało się, że w publikacjach tych relacje są niepełne, a w niektórych wątkach nieprawdziwe, o czym pisałem w artykule pt. *Nowe odkrycie – pierwsi limanowscy aptekarze, rodzina Müllerów*, („EL” nr 220 - 221, styczeń – luty 2013 r.).

Fot. K. Wojtas



Jan Postawa, spadkobierca pamiętek przekazanych do muzeum i Władysław Bieda burmistrz miasta, w czasie otwarcia *Izby pamięci limanowskich farmaceutów*.

DRZEWO GENEALOGICZNE LIMANOWSKIEJ RODZINY APTEKARZY



Plansza z Izby Pamięci w Muzeum Regionalnym Ziemi Limanowskiej.

Z dokumentów pozyskanych w późniejszym czasie wynikało, że tradycje limanowskich farmaceutów sięgają wcześniejszych lat, a pionierem ich nie był Antoni Müller lecz jego ojciec Ludwik.

Krystyna Bączkowska – Cynke nie o tych faktach nie wiedziała, choć w zbiorach rodzinnych fotografii znalazła w 2010 roku zdjęcie przedstawiające budynek apteki z połowy XIX wieku, sama zaś nie kojarzyła i nie potrafiła wyjaśnić jaką aptekę fotografia przedstawia.

Kiedy po raz kolejny odwiedziłem panią Krystynę, z wielką emocją podzieliła się tą tajemniczą wiadomością o istnieniu wcześniejszej apteki w Limanowej, która funkcjonować miała jeszcze przed założeniem rodzinnej apteki przez pradziadka Antoniego Müllera. Gdyby tak było, to dotychczasowe twierdzenie o założeniu pierwszej apteki w Limanowej przez jej przodka stałoby się nieprawdą. Wymieniliśmy wiele razy poglądy na temat tej „tajemniczej” apteki, zadając w dyskusji wielokrotnie zasadnicze pytanie: *Do kogo więc apteka mogła należeć?*

W konsekwencji tej polemiki napisałem artykuł pt. *Pierwsza apteka w Limanowej* („EL” nr 190-191, lipiec – sierpień, 2010 r.). W przekazie tym powiązałem logicznie fakty, udowadniając czyją własnością mogła być owa dziewiętnastowieczna apteka w Limanowej. Jednak nie do końca ta analiza okazała się poprawna – jeszcze wówczas nie posiadałem dokumentów archiwalnych. Rozwiązanie zagadki nastąpiło dopiero pod koniec 2012 roku, kiedy nawiązałem kontakt z potomkami rodziny Müllerów mieszkającymi poza Limanową. Niestety wówczas już nie żyła Krystyna Bączkowska – Cynke.

Okazało się, że historię dziejów rodziny Müllerów z Limanowej opisała w księdze rodzinnej Ewa z Kwiatkowskich Gładysińska, prawnuczka Antoniego Müllera. W tej właśnie księdze odnalazłem tą samą fotografię limanowskiej apteki, którą w 2010 roku odnalazła Krystyna Bączkowska – Cynke w Limanowej. Podpis pod fotografią głosił: *Apteka pradziadka mgr. farm. Antoniego Müllera w Limanowej ok. roku 1865*. Należy dodać, że prawnuczki Antoniego Müllera, Ewa Gładysińska i Krystyna Bączkowska – Cynke nie spotkały się nigdy, a więc nie знаły się.

Zaistniałe fakty pozwoliły na dopisanie do zasobu już istniejącej wiedzy nie-



znane do tej pory istotne wątki w dziejach tej aptekarskiej rodziny (elektroniczne wydanie kroniki jest w posiadaniu redakcji „Echa”).

Obecnie nasza wiedza o młodości Antoniego Müllera jest pełniejsza i wiemy, że urodził się w roku 1813 w Limanowej, a drogą spadku przejął od ojca Ludwika jedyną w powiecie limanowskim aptekę, która jest pokazana na tej „tajemniczej” fotografii. Przejęcie apteki prawdopodobnie nastąpiło w 1835 roku, kiedy Antoni powrócił z Nowego Sącza, gdzie odbywał praktykę w obwodowej aptece Woycikowskiego.

W roku 1842 ożenił się z Karoliną z Heinleinów, limanowianką, urodzoną w 1823 roku. Co więcej odtworzona została historia całej rodziny Antoniego Müllera. Wiemy również, że w wyniku wydarzeń losowych, jakie miały miejsce w rodzinie - nagła śmierć jedynego syna Antoniego, który miał przejąć aptekę - zmuszony był do poszukiwania farmaceuty.

Z ogłoszenia zgłosił się Walerian Wieniawa Zubrzycki, który w krótkim czasie został zięciem Antoniego Müllera, żeniąc się z Franciszką, jedną z jego pięciu córek.

Informacje te oparte są na dokumentach odnalezionych w archiwach parafialnych w Limanowej. Toteż w Muzeum Regionalnym Ziemi Limanowskiej poprzez skrupulatną, dokumentalną pracę, można było przygotować pełniejsze wiadomości. Zostały one zilustrowane na trzech tablicach ekspozycyjnych; m.in. przygotowane zostało drzewo genealo-

giczne limanowskich aptekarzy, ułatwiająca prezentację zebranych danych o tej pięciopokoleniowej rodzinie.

Co możemy jeszcze obejrzeć w *Izbie*, która umieszczona została w jednym z pomieszczeń północno – zachodniej części dworu Marsów.

Przed wejściem do niej nad jej drzwiami znajduje się reprodukcja fotografii przedstawiającej budynek apteki z charakterystyczną drewnianą werandą. Budynek ten usytuowany był przy ulicy Krakowskiej (dziś Jana Pawła II).

W jego drzwiach stoi właścicielka apteki Klementyna z Zubrzyckich Bączkowska (1887-1968), „zapraszając” przybyłych do odwiedzenia miejsca, w którym zebrane zostały ocalałe pamiątki rodziny: *Müllerów – Zubrzyckich – Bączkowskich*.

Wchodząc do *Izby*, zwiedzających wita dźwięk starego dzwonka zawieszonego nad drzwiami. Jest to ten sam dzwonek, który przez dziesiątki lat witał pacjentów kupujących medykamenty w tej jedynej wówczas limanowskiej aptece, gdzie za ladą spotkać można było przedstawiciela tej wielopokoleniowej rodziny farmaceutów.

Gdy przekroczymy już „próg” aptekarskiej *Izby*, zostaniemy wprowadzeni w niepowtarzalny nastrój, jaki jeszcze panował w latach powojennych, wprowadzić już nie rodzinnej apteki, gdyż w roku 1951 została ona znacjonalizowana, ale nadal prowadzona była przez potomków limanowskich farmaceutów: Klementynę, Janinę i Krystynę Bączkowskie.



Na frontowej ścianie *Izby*, za oryginalną ladą z wieloma szufladami, z których każda miała tabliczkę z łacińską nazwą leku zauważymy „stojącą” dumnie Klementynę z Zubrzyckich Bączkowską – jest to naturalnej wielkości fotograficzna reprodukcja tej postaci, właścicielki apteki w latach międzywojennych i tuż po II wojnie światowej.

W tle znajduje się pamiątkowa szafka, w której została wyeksponowana kolekcja szklanych naczyń aptecznych. Na szafie w miejscu centralnym umieszczono godło farmacji *wąż eskulapa*, tak jak było to przez wiele lat w aptece *Pod Gwiazdą* Bączkowskich (patrz zdjęcia archiwalne). Obok znajduje się lampa naftowa podarowana przez Ignacego Łukasiewicza, Antoniemu Müllerowi, który przez pewien okres pracował z Łukasiewiczem w aptece Mikolascha we Lwowie.

Powyżej szafy zawieszono są reprodukcje zdjęć ukazujące wyposażenie apteki z lat międzywojennych i okresu okupacji. Możemy podejrzeć jak dawniej pracowali aptekarze. Uwagę ponadto zwracają meble oraz niesamowity ład, porządek i harmonia w ułożeniu eksponatów. Obok na regałach aptecznych pokazane są pojemniki porcelanowe, butelki służące do przechowywania aptecznych surowców, porcelanowe moździerze z tłuczkami, młynek do mielenia surowców ziołowych, wagi apteczne i wiele innych przedmiotów związanych z laboratorium

aptecznym, czyli sprzętu służącego do przetwarzania substancji leczniczych i sporządzania leków.

Na uwagę zasługują portrety pędzla limanowskiego malarza Franciszka Mrażka przedstawiające dwa pokolenia limanowskich farmaceutów: Waleriana Wieniawę Zubrzyckiego oraz jego żonę Franciszkę z Müllerów, a także ich wnuczki Janinę i Krystynę Bączkowskie w latach dziecięcych, córki Klementyny z Zubrzyckich i Zdzisława Bączkowskich.

Warto również zwrócić uwagę na trzy plansze stojące na stelażach, które umożliwiają w klarowny sposób zapoznanie się z dziejami farmaceutów limanowskich. Pierwsza przedstawia drzewo genealogiczne rodzin: Müllerów, Zubrzyckich, Bączkowskich. Dwie następne, których tłem jest fotografia archiwalna z XIX wieku budynku pierwszej apteki w powiecie limanowskim, własności Ludwika Müllera, opisują w sposób zwięzły historię pięciopokoleniowej rodziny aptekarzy z Limanowej. Obok tekstu umieszczonych zostało kilka reprodukcji archiwalnych fotografii ukazujących życie tej rodziny począwszy od lat osiemdziesiątych XIX wieku po lata pięćdziesiąte XX wieku.

Izba pozwala nam zatrzymać się i spojrzeć, jak kiedyś podchodzono do leczenia. Oglądając eksponaty apteczne i wiele innych rodzinnych pamiątek zgromadzonych w *Izbie pamięci*, trudno nie wyjść z podziwu, jak estetyczne, piękne i bliskie człowiekowi były dawne przedmioty związane z farmacją.

W oficjalnym otwarciu *Izby pamięci* uczestniczyli m.in. potomkowie rodziny limanowskich aptekarzy: Jan Postawa z Poznania, syn Marii Zubrzyckiej, jedyny spadkobierca pamiątek rodzinnych, który przekazał je do Muzeum Regionalnego Ziemi Limanowskiej- potomek Antoniego Müllera po córce Franciszce Zubrzyckiej z Müllerów, Mariola Antonina z Kwiatkowskich Wilk z Tarnowa z córką Pauliną, Witold Kazimierz Nowina Kwiatkowski oraz Jacek Stanisław Szumański z Nysy – potomkowie Antoniego Müllera po córkach Bronisławie Głębockiej z Müllerów i Leokadii Kwiatkowskiej z Müllerów.

W imieniu potomków rodziny limanowskich aptekarzy głos zabrał Jan Postawa, który powiedział:

Szanowni Państwo!

Uczestniczymy w uroczystości związanej z moją najbliższą rodziną, jaką jest otwarcie Izby pamięci w Muzeum Ziemi Limanowskiej.

Dzięki zapobiegliwości śp. Krystyny Bączkowskiej – Cynke (mojej kuzynki), udało się zgromadzić szereg materialnych pamiątek z wyposażenia rodzinnej apteki jak i liczne dokumenty dotyczące moich przodków z rodziny Müllerów, Zubrzyckich, Bączkowskich i Górnych. Rodziny te były od wielu lat związane z miastem Limanowa. Pamiątki te są materialnym świadectwem o historii naszego miasta. Początkowym zamysłem było przekazanie tych pamiątek do Muzeum Farmacji w Krakowie. Jednakże dzięki mądrej sugestii Pana Stanisława Ociepki, postanowiłem, jako jedyny żyjący jeszcze potomek rodziny, już jednak nie farmaceuta, przekazać zbiór tych rodzinnych pamiątek do Muzeum Ziemi Limanowskiej. Mam pełną świadomość słuszności tej decyzji i muszę przyznać z zadowoleniem, że spotkała się ona z ogromnym zrozumieniem ze strony szerokiego grona pracowników Muzeum. Dlatego pragnę dziś serdecznie podziękować wszystkim tym osobom, które przyczyniły się bezpośrednio jak i pośrednio do utworzenia stałej Izby pamięci tak zasłużonej dla Ziemi Limanowskiej mojej rodziny.

Na zakończenie wypada mi przypomnieć o tym, że rodzinna apteka w Limanowej działała nieprzerwanie od XIX wieku, a zwłaszcza w trudnych latach dla narodu polskiego w okresie I i II wojny światowej, niosąc pomoc mieszkańcom całego regionu powiatu limanowskiego. To w okresie I wojny światowej na stanowisku aptekarskim czuwał Zdzisław Bączkowi. Było to jedyne wówczas miejsce pomocy medycznej. Na szczególne wyróżnienie zasługuje działalność patriotyczna rodziny Bączkowskich: Klementyny, Janiny i Krystyny w czasie II wojny światowej w zakresie pomocy oddziałom partyzanckim działającym na terenie powiatu limanowskiego. Wspominała o tym Janina Bączkowska w napisanym esejie pod tytułem „Stały dyżur”, który ukazał się w książce „Wspomnienia farmaceutów z lat 1939–1945”. Esej ten był również publikowany w „EL”.

Kończąc, jeszcze raz dziękuję serdecznie wszystkim tym, którzy przyczynili się do utworzenia otwieranej dziś oficjalnie Izby pamięci.

Na zakończenie oficjalnej części Jan Postawa uhonorowany został tytułem i medalem „Za zasługi dla Miasta Limanowa”, nadanym przez Radę Miasta Limanowa. Medal wręczyli: Irena Grosicka, przewodnicząca Rady i Władysław Bieda, burmistrz Limanowej.

Fotografie: Stanisław Ociepka

Klementyna Zubrzycka

Stanisław Ociepka

- limanowski kronikarz czasu, w Krakowie



W Muzeum Historii Fotografii im. Walerego Rzewuskiego w Krakowie 12 września br. została otwarta wystawa pt. *Światło – czule świadectwo. Skarb z Limanowej*. Jest to kolekcja fotografii Klementyny z Zubrzyckich Bączkowskiej z początku XX stulecia. Na oficjalnej stronie internetowej muzeum zamieszczono krótką informację o zrealizowanym pomysłu w ramach projektu Klucz do magazynu. W recenzji napisano: *Jest to kolekcja fotografii Klementyny z Zubrzyckich Bączkowskiej. Na wystawie pokazano kilkaset, z liczącego około dwóch tysięcy wizerunków fotograficznych limanowskiego archiwum przekazanych do muzeum przez jej córkę, Krystynę Bączkowską – Cynkę. Kolekcja prac Klementyny Zubrzyckiej stanowi unikatowe świadectwo wciąż aktualnej i nowo interpretowanej fotografii amatorskiej, traktowanej nie tylko jako prywatne hobby, ale również element tworzącej się wówczas nowoczesnej rzeczywistości.*

W przeciwieństwie jednak do typowej dla tego nurtu „fotografii rodzinnej” przedstawienia rejestrowane przez Klementynę Zubrzycką - Bączkowską na ogół nie były przypadkowymi rejestra-

cjami, ale starannie wybranymi aranżowanymi ujęciami. Fotografia zostaje użyta przede wszystkim jako niekonwencjonalne narzędzie dla kreacji.

Po przywitaniu licznie zgromadzonych zaproszonych gości, także z Limanowej, przez gospodarzy wystawy: Macieja Beiersdorfa – dyrektora Muzeum Historii Fotografii w Krakowie oraz Władysława Biedę – burmistrza Limanowej, Iwona Świąch – kurator wystawy przybliżyła istotę i charakterystykę prezentacji. Powiedziała m. in.: *Wystawa jest opowieścią skupiającą się na dwóch podstawowych perspektywach fotograficznych Klementyny Zubrzyckiej. Pierwsza z nich dotyczy portretowania i towarzyszącej mu teatralności, druga odnosi się bardziej do bezpośrednich rejestracji starannie wybranych scen z życia codziennego, które określimy mianem zaświadczenia (...).*

Autorzy wystawy mają nadzieję, że wywoła ona wśród widzów nie tylko nostalgiczne westchnienie w stronę historii i pięknych chwil utrwalonych na szklanych kliszach, lecz także refleksję nad nowatorstwem i różnorodnością dawnej, a jednak zdumiewająco współczesnej fotografii amatorskiej (...).

Scenografię wystawy opracowały Malwina Antoniszczak i Monika Bielak, zaś reprodukcje prezentowanych fotografii wykonali Michał Misztal i Ryszard Presz.

Na wystawie prezentowany jest również sprzęt używany przez miłośniczkę fotografii z Limanowej, w tym niektóre aparaty oraz akcesoria fotograficzne. Można ponadto dostać dwujęzyczną publikację, która prezentuje odkrycie tak oryginalnego, bogatego i spójnego zbioru fotografii amatorskiej Klementyny Zubrzyckiej.

Wystawa w Krakowie czynna jest do 21 listopada 2013 r. Potem przywędruje do Limanowej, gdzie będzie eksponowana w Muzeum Regionalnym Ziemi Limanowskiej w okresie od stycznia do kwietnia 2014 roku.

Prezentowana na krakowskiej wystawie kolekcja to pokłosie prac związanych z pozyskiwaniem materiałów do wielkiego projektu, jakim było opracowanie i wydanie albumu „Okrucy pamięci – Limanowa na starej fotografii”.

Czy więc ekspozycja kolekcji fotografii Klementyny Zubrzyckiej – Bączkowskiej w krakowskim muzeum była wydarzeniem odkrywczym? Na pewno nie!

Natomiast ranga wystawy, miejsce, szum medialny, zaproszeni goście, dwujęzyczny katalog, podkreśliły znaczenie zbioru, jego wartość historyczną i kulturową.

Kiedy więc i w jakich okolicznościach odkryto tę rewelacyjną kolekcję fotografii powstałej na początku XX wieku, a skrywanej przez dziesiątki lat w prywatnym zbiorze wielopokoleniowej rodziny farmaceutów w Limanowej? Kiedy ponownie zobaczyła „światło dzienne”? Jaka drogą dotarła do Krakowa i została umieszczona w Muzeum Historii Fotografii?

Moim zamierzeniem w obecnym artykule jest odpowiedzieć na te pytania i przybliżyć społeczności Limanowej fakty związane z odkryciem zbioru, jego prezentacją w prasie lokalnej i na wystawie w limanowskiej bibliotece i pozyskania go do realizacji monumentalnego projektu albumu fotografii o Limanowej.

Wystawa fotografii w Galerii Miejskiej Biblioteki Publicznej w Limanowej zorganizowana przez niezapomnianą ówczesną dyrektorkę Halinę Matras, niezwykle aktywnego i płodnego kreatora limanowskiej kultury została osobiście otwarta przez Krystynę Bączkowską – Cynkę – córkę Klementyny Zubrzyckiej w 2008 r.

To wtedy mieszkańcy Limanowej po raz pierwszy zobaczyli „skarb” Limanowej. To tutaj odbyła się pierwsza prezentacja zbioru fotografii.

Liczny udział limanowian w otwarciu wystawy, duża frekwencja oglądających ekspozycję to niewątpliwy sukces zarówno ówczesnych organizatorów jak i wspaniałej archiwalnej fotografii Limanowej sprzed 100 lat.

Świadectwem uznania wartości wystawy były wpisy do książki pamiątkowej, których ze względu na ramy artykułu nie przytaczam w całości: *Piękna wystawa. Bardzo jestem zadowolona. Cieszę się, że znalazłam dziadka - dumna jestem z naszego rodzinnego miasta; Pożółkle fotografie, a tyle na nich historii. Dziękujemy za możliwość poznania jej; Jest rzeczą wspaniałą, gdyż ci, którzy nie mieli okazji uczestniczyć w tych wydarzeniach, ani nawet słyszeć o tym wszystkim z opowieści przodków, mogą jakby wejść na chwilę w rzeczywistość poprzednich stuleci.*

Kiedy na początku 2008 roku przystępowaliśmy do realizacji projektu związanego z albumem starej fotografii o Limanowej „Okruchy pamięci”, byłem częstym gościem u Pani Krystyny Bączkowskiej – Cynke! Kto znał Panią Magister, jej konserwatywny, zachowawczy charakter, wiedział, że niełatwo było zdobyć Jej zaufanie.



Ekspozycja fotografii Klementyny Zubrzyckiej w Muzeum Historii Fotografii w Krakowie.



Władysław Bieda, burmistrz Limanowej wręcza Maciejowi Beiersdorfowi, dyrektorowi Muzeum Historii Fotografii pamiątkowy album „Okruchy pamięci - Limanowa na starej fotografii”.

Dziś z szacunkiem, nie pozbawiony emocji, wspominam, że byłem mile widzianym gościem w Jej domu oraz, że darzyła mnie całkowitym zaufaniem. Ta bezcenna znajomość okazała się wielce twórczą, a rezultatem były prawa publikowania zdjęć z kolekcji w publikacji albumowej, a także w „Echu Limanowskim”.

Wiele razy rozmawialiśmy z Panią Magister co zrobić, aby zachować tę skarbnicę przeszłości, udokumentowaną na szklanych negatywach dla przyszłych pokoleń. W naszych rozmowach – spotkaniach uczestniczyła czasem siostra pani Krystyny, Janina Bączkowska, współwłaścicielka kolekcji.

Podczas jednej z naszych wspólnych rozmów zatroskane o los zbiorów siostry, nie mając żadnego pomysłu na rozwiązanie tej sprawy, zwróciły się do mnie o radę i pomoc. Wówczas z mojej strony padła propozycja, aby przekazać ten cenny zbiór do Muzeum Historii Fotografii w Krakowie, a siostry odpowiedziały: *proszę zatem, panie Stanisławie, poczynić starania w tym zakresie*. Odpowiedziałem wówczas: *Szanowne Panie, macie możliwość załatwienia tej sprawy przez dr. Macieja Bileka, krakowianina, który przecież jest częstym gościem w Waszym domu*. I tak się stało. Kolejne wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. W międzyczasie został wydany I tom „Okruchów pamięci” z paletą rodzinnych zdjęć Zubrzyckich – Bączkowskich (Janina Bączkowska już nie żyła).

Po ukazaniu się w 2008 r. tego pomnikowego albumu Pani Krystyna wyraziła szczerą wdzięczność i radość za to, iż w wydanej skarbnicy archiwalnych fotografii o Limanowej znalazła się pokaźna ilość zdjęć z rodzinnej kolekcji, które jak mówiła: *zachowają pamięć o najbliższych* i dodała, że *po tylu latach zauważono dorobek Jej matki Klementyny Zubrzyckiej*. Dumnie uczestniczyła 8 lutego 2009 r. w oficjalnej promocji albumu, która miała miejsce w Limanowskim Domu Kultury, gdzie przedstawiono widowisko zatytułowane: *Odnaleziono to – co wydawało się pogubione...* Podczas tej promocji Rada Miasta uhonorowała Panią Krystynę Bączkowską – Cynkę, tytułem i medalem „Przyjaciel Miasta Limanowa” za wkład pracy i przekazanie bogatego zbioru unikatowych zdjęć.

Od tej chwili wzmógł się udział w współpracy z Magister Bączkowską – Cynką dała efekty w postaci artykułów biograficznych o rodzinie limanowskich farmaceutów, w których Czytelnicy „Echa” mogli zobaczyć odkryte fotografie.



Ciemnia fotograficzna z początku XX wieku.

W tym samym czasie Pani Krystyna przyjęła we własnym domu przedstawicieli krakowskiego Muzeum Historii Fotografii w celu przekazania zbioru. Spotkań inwentaryzacyjnych w różnych terminach było bodajże cztery. O wszystkich na bieżąco informowała mnie Pani Magister. Prace jednak nie zostały dokończone, bowiem w międzyczasie w październiku 2011 r. Pani Bączkowska poważnie zachorowała i w wyniku choroby zmarła 22 maja 2012 roku. Dalsze ustalenia w kwestii przekazania kolekcji fotografii prowadzone były już z Panem Janem Postawą, kuzynem Krystyny Bączkowskiej – Cynke, jedynym po Jej śmierci spadkobiercą tego zbioru.

Od czasu rozpoczęcia prac archiwizacyjnych minęły cztery lata i wreszcie zbiór ten doczekał się ekspozycji na większą skalę w Muzeum Historii Fotografii w Krakowie. W czasie otwarcia wystawy zapomniało jednak zaznaczyć, że jest to już druga jego prezentacja. Pierwsza, odkrywca miała miejsce 25 października 2008 roku w Galerii Miejskiej Biblioteki Publicznej w Limanowej.

Kończąc rozważania, chciałbym jeszcze zwrócić uwagę limanowian, zwłaszcza tych którzy nabyli promocyjny katalog krakowskiej wystawy, na jeden szczegół.

Czytając tę promocyjną publikację w rozdziale „Skarb z Limanowej” w przypisie „3”, można przeczytać lakoniczny zapis o treści: *Niektóre zdjęcia zostały udostępnione po raz pierwszy prawdopodobnie dopiero w latach 2008 – 2009 najpierw w lokalnym „Echu Limanowskim”, a następnie w fotograficznej monografii „Okruchy pamięci – Limanowa na starej fotografii” opracowanej przez Stanisława Ociepkę i Jerzego Bogacza w 2009 roku.*

Niedobrze więc się stało, że wykrzystano w tym skromnym w treść przypisie katalogu krakowskiej wystawy niefortunne określenie „prawdopodobnie”, bo przynajmniej dla historycznej prawdy powinno być ono pominięte lub zastąpione słowem „na pewno”, bowiem wszystko co miało związek z odkrywczą prezentacją kolekcji tzw. „skarbu z Limanowej” miało miejsce w rodzinnym mieście Klementyny z Zubrzyckich Bączkowskiej.

Pomimo wszystko oglądając wystawę krakowską, z satysfakcją stwierdzam, że jest ona jeszcze jednym owocem „Okruchów pamięci”, które zrodziły się w Limanowej i stały się impulsem do poszukiwań archiwalnych fotografii i zostały odnalezione między innymi w zbiorach rodziny Bączkowskich.

Szkoda jedynie, że wielką nieobecnością na wystawie krakowskiej stała się śp. Pani Krystyna Bączkowska – Cynke. Miałyby obecnie niespełna 90 lat i zapewne przeżywałyby głęboko realizację krakowskiego projektu związanego z prezentacją fotografii Jej matki Klementyny z Zubrzyckich. Zapewne nie mniej głęboko niż pięć lat temu, gdy przeżywała prezentację zbioru w Limanowej. Nie doczekała tej chwili ani Ona, ani wcześniej zmarła siostra Janina.

Mam więc satysfakcję, iż jest w tym krakowskim projekcie limanowski wkład w ocalenie przepięknej kolekcji, o co osobiście zabiegałem od chwili jej odkrycia, dążąc do umieszczenia zbioru w miejscu najlepszym dla archiwalnej fotografii.

Pamięć o „Skarbie z Limanowej” została uratowana!!

Fotografie: Dariusz Ociepka

ŚWIATŁO - CZUŁE ŚWIADECTWO

Skarb z Limanowej

Zbigniew Sułkowski

Taki tytuł nosi otwarta 12 września w Muzeum Historii Fotografii w Krakowie wystawa prac Klementyny Zubrzyckiej z Limanowej - przepisując z ewidentnym błędem ortograficznym, bo wg zasad przymiotnik „światłoczuły” zapisuje się bez łącznika.

Może jednak jest w tym jakiś sens ukryty, którego „*wiekiem zamroczony, tepymi oczy*” nie widzę.

A wystawa – w całokształcie przemysłana – obejmuje ok. 200 zdjęć wybranych z 1600 negatywów i pozytywów – dorobku pani Klementyny Zubrzyckiej (1887 – 1968) przypomnianej i zaprezentowanej w Limanowej już wcześniej w trzech tomach albumu „Okruczy pamięci”, a ów „skarb z Limanowej” przekazała krakowskiemu muzeum córka – Krystyna Bączkowska – Cynke (1924 – 2012) ostatnia z trzech pokoleń Zubrzyckich – farmaceutów, co w minionych czasach nobilitowało do inteligentkiej elity.

Wybrane na wystawę zdjęcia pochodzą sprzed 1914 roku, a tematycznie obejmują głównie dwa motywy – portret

i sceny rodzajowe. Co je wyróżnia, że mają stanowić aż „skarby”?

Ale wcześniej parę słów o autorce, dziewczynie nowoczesnej, wyemancypowanej, o ambicjach twórczych. Już sam fakt podjęcia przez nią (kobietę!) studiów farmacji był w ówczesnej Galicji wyzwaniem przeciw obyczajności. Kpiąc sobie z niej, Klementyna opanowała jazdę rowerem, motocyklem i samochodem, do tego dochodziły myślistwo, łyżwy, narty, również narty wodne i ... nurkowanie! Wyjaśnię, że ówczesne narty wodne nie służyły do ślizgania się po wodzie za pomocą motorówki; były to dwa nieduże kajaki na nogi, a poruszało się za pomocą dwustronnego wiosła. Wcale nie było to łatwe. Gdzie natomiast i w jakim obleczeniu panna Zubrzycka odważała się nurkować – w znaczeniu skoków do głębokiej wody – nie wiem. Najpewniej podczas licznych wojaży za granicę.

Trudno sobie wyobrazić, że tak pełna energii i fantazji osoba potrafiła skoncentrować się na czasochłonnym procesie fotograficznym. Choć wcale nie mu-

siała – posiadając aparat firmy Eastman Kodak (to była marka!) mogła korzystać z usług zakładów firmy, wołała jednak sama bawić się obróbką fotografii. W końcu chemia wchodziła w zakres jej profesjonalnej edukacji.

Odwiedzając wystawę, można być zaskoczonym. Zamiast oczekiwanych dużych powiększeń, oglądamy na ogół zdjęcia w formacie pocztówkowym lub niewiele większym, eksponowane jednak tak, że można je dokładnie obejrzeć; można też przy pomocy prostych urządzeń stworzyć sobie iluzję trójwymiarowości zdjęć stereoskopowych (technologia dziś zwana „3D”) można zapoznać się z „czarną magią” fotografii analogowej - pozytywy i negatywy na papierze, szkłe, kliszy celuloidowej, jedwabiu. A mały format wystarczał, bo i tak obrazy fotograficzne panna Klementyna prezentowała najczęściej, wyświetlając rzutnikiem przeźrocza podczas wyreżyserowanych seansów.

Reżyserowane są także fotografowane scenki rodzajowe z udziałem rodziny i znajomych, młoda Klementyna





Otwarcie wystawy fotografii Klementyny Zubrzyckiej w Muzeum Historii Fotografii w Krakowie.

*Spod słomkowego pogody ronda
Madonna prowincji spogląda
Cała w chmurkach papilotach
Cała w słoikach kompotach*

*Sypią się pod jej nogi płatki zdarzeń
Proboszcz po rosole zajmuje pół rynku
Stanik żonie burmistrza odpina kochanek
Jak wielką wystawę warzywną.*

*Burmistrzowa ma jeszcze z kankana uda
I łóżko się jak szarża huzarów załamię
Kiedy mąż rogami w werandę tłucze
Madonna ośłania kochanków swym ciałem*

unikala zwykłego dokumentowania zdarzeń. Inteligentna, rozumiała już w tamtych czasach, że z pomocą fotografii można albo w sposób daleko wątpliwy rejestrować rzeczywistość, albo kreować na wzór malarstwa swój własny świat. Piękny... I tym się, eksperymentując różnymi technikami, bawiła.

Są oczywiście w dorobku twórczym zdjęcia o charakterze dziś absolutnie dokumentalnym, zawsze w ciekawym zestawieniu np. plac targowy w Sarajewie i w Limanowej, w zasadzie specjalne zamówienie na dokument przyjęła tylko raz. Na szczególną prośbę zaprzyjaźnionego z rodziną proboszcza Łazarskiego wykonała cykl zdjęć z budowy obecnego limanowskiego kościoła, zdjęć nota bene całkowicie różnych od ówczesnego stereotypu nadętej hierarchiczności osób i zdarzeń. Ową sztuczną powagę Klementyna Zubrzycka zwalczała na swych ujęciach, każąc modelom wychodzić na drzewa czy głązy, ustawiając eleganckie towarzystwo na chłopskim wozie, czy też inspirując zabawę z ulubionymi zwierzętami. Często ustawiała fotografowanych w tzw. żywe obrazy z zastosowaniem kostiumów i rekwizytów. Mamy więc improwizowane sceny kabaretowo-teatralne, pasterskie sielanki, cygańskie obozowiska ; „wąsate” panny miejsko-dworskie pozują na wiejskich zawiadaków, zbrojnych wojaków czy Cyganów szczęśliwych. Sytuacje pełne komizmu, często frywolne. A wszystko jakby z przeczcuciem nadciągającego końca „belle epoque” przełomu wieków XIX i XX –



Na wystawie można było zobaczyć zdjęcia trójwymiarowe wykonane aparatem stereoskopowym przez Klementynę Zubrzycką.

czasów postępu, eleganckich sukien, rozkwitu na skalę niespotykaną życia kulturalnego i wiecznego zdawało się pokoju w Europie.

Także patrzenia na świat przez pryzmat kabaretu –i w kawiarniach wielkomiejskiej bohemy, i w życiu. Także życiu prowincji.

I jest w pogodnych zdjęciach młodej farmaceutki coś z owego ducha czasu, ujętego po latach w wierszu J. Harsymowicza „Madonna prowincji”. Czytaj, kto nie pruderyjnie ciekawy:

Wszystko skończyło się brutalnie, gdy w szczęśliwym Sarajewie, gdzie Zubrzyccy często spędzali lato u krewnych, garstka wyrostków zastrzeliła na ulicy arcyksięcia Ferdynanda z małżonką. I zaczął się dla Europy i świata wiek XX.

Fotografie: Dariusz Ociepka

Wiedza w praktyce

Rozmowa z Marcinem Wroną, zdobywcą złotego medalu na VII Międzynarodowej Olimpiadzie z Astronomii i Astrofizyki w Grecji



Marcin Wrona po ogłoszeniu wyników i zdobyciu złotego medalu na VII Międzynarodowej Olimpiadzie z Astronomii i Astrofizyki w Grecji.

- *Jak się czujesz jako złoty medalista?*

- Tak szczerze, to zawsze marzyłem o tym, żeby zdobyć kiedyś złoty medal, ale nie sądziłem, że będzie on z astronomii, stawiałem bardziej na fizykę. Najlepsze w złotym medalu jest to, jak się go zdobywa, cały ten trud i czas poświęcony na naukę, olbrzymi stres... Nawiasem mówiąc, powinni zabronić takiego sposobu wręczania nagród! Wywołują po kolei osoby, od wyróżnień przez brązowe medale, srebrne i na końcu złote, a człowiek siedzi, i z każdą kolejną osobą odczuwa coraz większy stres, aż do momentu wywołania. Teraz już nie odczuwam nic specjalnego, ale doskonale pamiętam, co czułem w chwili otrzymania tego medalu. Przede wszystkim radość, olbrzymią radość, szeroki uśmiech od ucha do ucha przez pół godziny, poczucie dumy i wielkie niedowierzanie. Nie sądziłem, że zdobędę złoto. Jadąc na olimpiadę, nie spodziewałem się sukcesu większego niż brąz, a tu proszę!

- *Który etap konkursu był trudniejszy krajowy czy międzynarodowy?*

- Dla mnie zdecydowanie trudniejszy był etap krajowy, ponieważ było tam tylko kilka zadań, ale za to na bardzo wysokim poziomie. Tam rozwiązanie albo nierozwiązanie jednego zadania decydowało o tym, czy będzie się finalistą, laureatem, czy może tylko uczestnikiem finału. Na etapie międzynarodowym było natomiast ponad 20 zadań (teoretyczne, analiza

danych i obserwacyjne), ale za to dużo łatwiejszych (oczywiście w porównaniu z krajowym, bo poziom sam w sobie był bardzo wysoki). O tym, że olimpiada krajowa była dla mnie trudniejsza, świadczy też uzyskany wynik, tam byłem zaledwie szósty (miałem dużo szczęścia, że się dostałem na międzynarodową, bo zawsze jechała tylko pierwsza piątka).

- *Ile wyrzeczeń kosztowało Cię zdobycie tego tytułu?*

- Dużo. Jak wszystkim powszechnie wiadomo, astronomii w szkole nie uczą (prócz kilku lekcji z podstawowych zagadnień) i wszystkiego trzeba było się nauczyć w domu, a ponieważ materiału jest bardzo dużo, to prawie każdą wolną chwilę poświęcałem na przygotowania do olimpiady. Jednak tych wolnych chwil dużo nie bywało, bo po pierwsze – matura, do niej też trzeba było się przygotować, przede wszystkim z języka polskiego. O tym, że ta matura nie jest aż tak ważna, jak się z początku spodziewałem, dowiedziałem się dopiero na ogłoszeniu wyników z olimpiady krajowej w marcu (tytuł laureata zapewnia zwolnienie z rekrutacji). Po drugie – inne konkursy. Co prawda do nich przygotowywałem się z kolegą w drodze na kolejny etap, ale warto było o nich wspomnieć. Po trzecie – inne przedmioty, musiałem utrzymać wysoką średnią (do stypendium). Na tym wszystkim ucierpiało przede wszystkim moje życie towarzyskie, bardzo mało imprez,



Marcin Wrona drugi z prawej.

Marcin Wrona urodził się 7 września 1994 roku w Limanowej. Jego rodzicami są Bernadeta i Tadeusz Wronowie. Dziadek - Jan Wrona, to znany samorządowiec i działacz społeczny. Marcin rozpoczął edukację w Szkole Podstawowej nr 1 im. Marii Konopnickiej w Limanowej, następnie kształcił się w Gimnazjum w tej szkole. Jest absolwentem I Liceum Ogólnokształcącego im. Władysława Orkana w Limanowej, w którym w 2013 r. zdał maturę. Obecnie jest studentem I roku fizyki na Uniwersytecie Warszawskim. Jego szczególne osiągnięcia to: Finalista Małopolskiego Konkursu z Fizyki i Astronomii uczniów gimnazjów w 2010 roku, tytuł laureata Ogólnopolskiej Olimpiady Astronomicznej w Chorzowie w 2013 roku, złoty medalista Międzynarodowej Olimpiady z Astronomii i Astrofizyki w Wolos w Grecji w 2013 roku.

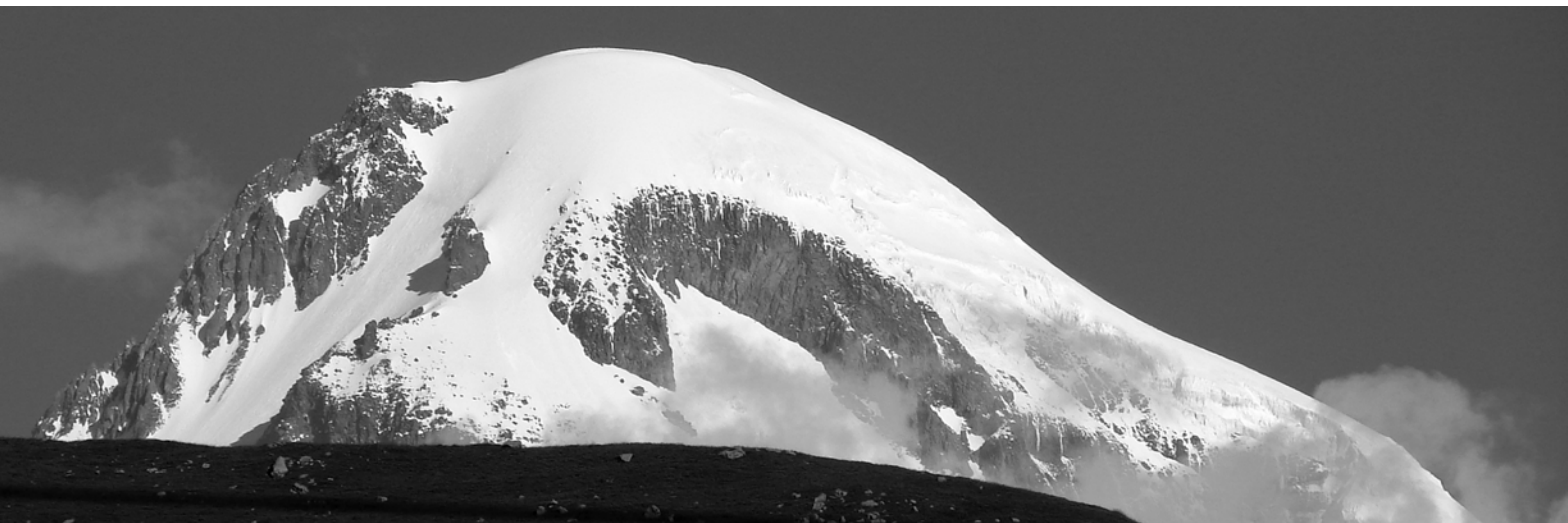
wypadów z kumplami, brak też czasu na dziewczynę, ale nie żałuję ani trochę. To czego się nauczyłem, nigdy nie zginie, a z imprez i tak się mało pamięta, a teraz będąc studentem, mogę to wszystko nadrobić, i na pewno to zrobię.

- *Jak długo przygotowywałeś się do tej olimpiady?*

- Pierwsze książki kupiłem w pierwszej klasie liceum, ale takie prawdziwe przygotowanie to cała 3 klasa i wakacje przed nią.

(ciąg dalszy na stronie 37)

WIELKI KAUKAZ PO RAZ



Szczyt Kazbeku. W. Wysocki śpiewał: *...są piękniejsze od gór tylko góry - te, na które nie wspinał się nikt (z nas).*

W ubiegłym roku artykuł „*Upalne lato w śniegu i lodzie...*” dla Echa Limanowskiego¹ zakończyłem postanowieniem, że w Kaukaz Wschodni i na degustację gruzińskich win wyprawię się „innym razem”. Oczywiście, zdobycie Elbrusa było dużą zachętą do dalszej eksploracji Kaukazu, ale wiadomo, w życiu różnie bywa. Nie przypuszczałem, że nastąpi to tak szybko.

Gruzja - atrakcyjny kierunek wypraw

Ubiegłoroczna „poelbruska” wyprawa do zachodniej Gruzji zaowocowała „zauroczeniem” nią co najmniej kilku jej uczestników, dlatego decyzja o tegorocznym wyjeździe zrodziła się dość szybko. Jedyne u mnie trochę wolniej, ponieważ podjąłem ją dopiero pod koniec kwietnia - *in last minute*. Przygotowując kaukaską wyprawę do Gruzji Wschodniej, w celu omówienia jej szczegółów spotykaliśmy się 18 maja i 9 czerwca. Na lotnisku meldujemy się w sobotę, 29 czerwca 2013 r. o 20³⁰. Jest piętnastu uczestników wyprawy. Wśród nich także Agnieszka i Marek B. - limanowianie. Wylot z Okęcia nocnym bezpośrednim samolotem do Tbilisi. Startujemy z niewielkim opóźnieniem i lecimy ok. 3 godziny, ale uwzględniając dwie godziny różnicy czasu, ok. 4⁰⁰ rano jesteśmy w stolicy Gruzji. Busem dojeżdżamy do hotelu, położonego niedaleko centrum miasta. Pierwszy gruziński dzień, przeznaczony na zwiedzanie Tbilisi, rozpoczynamy bardzo wcześnie. Po śniadaniu wyruszamy „w miasto” główną Aleją Szoty Rustawego. Zwiedzamy stare miasto i jego cerkwie, z fortecznego wzgórza, twierdzy Narikala, podziwiamy panoramę

miasta z nowoczesną architekturą śródmieścia i odpoczywamy w Ogrodzie Botanicznym. Następnie posiłek w pobliżu tbiliskich siarkowych łaźni i wracamy do hotelu. Po krótkiej naradzie - odpoczynek. Dla wytrwałych wieczorny spacer po mieście i kolacja. Nie jestem Robertem Makłowiczem, ale warto wspomnieć o kuchni gruzińskiej, w której jako przekąska króluje *chaczapuri* - gruziński zapiekany placek z serem, a w daniach głównych *chinkali* - gruzińskie pierogi z mięsnym farszem, posiadające swój oryginalny kształt (podawane na gorąco zawierają wewnątrz aromatyczny rosół). Myśląc o deserze, należy pamiętać o *czurczchela*, która przypomina długie sople z nawlczonych na nitkę orzechów laskowych, zatopionych w masie z gęstego soku z winogron. Nie da się zapomnieć o winach, np. *Kindzmarauli*, *Pirosmani* lub *Saperavi*.

Nasz wyjazd ma charakter samochodowo-trekkingowy. Przejazdy mają odbywać się terenowymi Ładami Niva 4x4. Wieczorem odbieramy cztery samochody, a już następnego dnia, po wczesnym śniadaniu wyjeżdżamy z Tbilisi w kierunku południowo-wschodnim do Kachetii - regionu, z którego pochodzi 70% krajowej uprawy winorośli. Naszą załogę stanowią: Ewa, Jacek w roli doświadczonego kierowcy, Jurek K. - sprawdzony druh w licznych

*... Tam, gdzie szum wielkich miast, tam, gdzie pośpiech i zgłęb,
Znów wracamy, innego wyboru nie mając.
Choć do miast powracamy, jak statki na brzeg,
Nasze serca na zawsze już w górach zostają...*

Włodzimierz Wysocki²

wspólnych wyprawach i ja. Dopiero po przejechaniu dziesiątków kilometrów okazało się, że pani dr Ewa - nasz „pilot”, również ma limanowskie korzenie, jej dziadkowie pochodzili z Pisarzowej. Pierwszym celem jest zespół monasterów David Gardża typu „skalne miasto”, zabytek z listy UNESCO, położony na granicy z Azerbejdżanem. Po kilkugodzinnym zwiedzaniu mnisich cel i świątyń, wykutych w skale, wyjeżdżamy w kierunku północnym do XVIII-wiecznego, odrestaurowanego miasta Signagi. Fakt, że udało nam się pobłądzić na asfaltowych drogach, jest zapowiedzią ciekawych przygód w interiorze. Na nocleg w hoteliku pośrodku winnicy, w okolicy stolicy Kachetii - Telawi, zjawiamy się dość późno.

Wtorek zostaje poświęcony na zwiedzanie najważniejszych i najstarszych zabytków Kachetii. Do katedry w Alawerdi (XI w.), jednej z najpiękniejszych w całym regionie Kaukazu, niełatwo jest wejść. Wiadomo, że ramiona i głowy pań muszą być okryte, ale zakaz obejmuje także posiadaczy krótkich spodni. Trzeba wrócić do hotelu po długie spodnie lub „wypożyczyć” je na czas zwiedzania katedry od kolegi. Zatrzymujemy się też na krótko w samym mieście Telawi i zwiedziliśmy malowniczy XV-wieczny zamek w Gremi.

DRUGI

Długo by pisać o zabytkach wschodniej Gruzji. Dzięki bezpośrednim połączeniom lotniczym Gruzja stała się „z dnia na dzień” atrakcyjnym i popularnym kierunkiem podróży. Zwłaszcza dla młodych podróżników - backpackerów. Ponieważ naszym celem są góry, więc w tym miejscu mogę jedynie polecić lekturę nowego przewodnika „*Gruzja w pigulce*”³ lub nieco starszego „*Gruzja i Armenia oraz Azerbejdżan*”⁴.

Trekking

Szatili - Omalo

Po powrocie do „naszej” winnicy rozpoczęły się przygotowania do trekkingu (ubiór, bagaże, namioty...). W piątym dniu wyprawy cała ekipa, tworząca cztery załogi w samochodach Łada, podzieliła się na dwie części. Plan jest taki: celem siedmioosobowej grupy, którą kieruje Jurek W., jest dojechanie do słynnej Gruzińskiej Drogi Wojennej, a następnie od zapory Zhinvali przejazd dwoma samochodami górską drogą do Szatili. Druga część ekipy, którą kieruje Leszek, powinna dojechać do Omalo. Po jednodniowej „aklimatyzacji” w Kaukazie planujemy pozostawić auta, wynająć „do pomocy” (bagaż) konie i szlakiem Szatili - Omalo, przechodząc kilkadziesiąt kilometrów, przez przełęcz Atsunta Pass (3431 m n.p.m.) dojść do Omalo, wymieniając się po drodze kluczykami do samochodów. Plan prosty. A realizacja?

Do przejechania „tylko” ok. 200 km. Ale ponieważ do Szatili jest znacznie dalej niż do Omalo, więc wyjeżdżamy trochę wcześniej. Po przejechaniu krótkiego odcinka asfaltowej drogi rozpoczyna się „szutrówka”. Na mapie jest oznaczona na żółto jako droga o znaczeniu regionalnym. Mamy więc przedsmak gruzińskiego interioru. W mijanym miasteczku Tianeti robimy zakupy żywnościowe na kilkudniowy pobyt w górach, a po dojechaniu do Gruzińskiej Drogi Wojennej tankujemy benzynę „pod korek”. Dalej już tylko górską drogą prowadzi nas na północ. Po-

czątkowo malownicza - nad zbiornikiem Zhinvali, potem jeszcze bardziej malownicza - w górach wysokich. Ale, niestety, zaczyna padać deszcz. Droga przestaje „kurzyć”, ale staje się śliska. Górskie potoki wzbierają wodę. W niektórych miejscach woda jest rwąca. W pewnym momencie droga pnie się w górę i na wysokości 2676 m n.p.m. dojeżdżamy do przełęczy Datwis-Dżwari. Pojawiają się pierwsze ważne gruzińskie zabytki - średnio-wieczne wieże i baszty. Widoki coraz bardziej interesujące, ale pogoda się pogarsza. Do XII-wiecznej wioski-twierdzy Szatili docieramy ok. godziny 17⁰⁰. Tutaj szybko „schodzimy na ziemię”. Po pierwsze, w wiosce nie ma koni do wynajęcia. Bezskutecznie rozpytujemy o tragarzy. Pada deszcz. Na dodatek (a jak się później okaże - na szczęście) nie mamy kontaktu z drugą grupą. Zatrzymujemy się w jednym z dwóch hotelików (zbudowanym z kamieni ułożonych bez zaprawy murarskiej), gdzie zaoferowano nam także kolację. Rozwiązanie problemów logistycznych zdecydowanie zostawiamy na następny dzień, ponieważ gospodarz, podkreślając estymę, z jaką traktuje gości z Polski, przynosi w plastikowej butelce winiak - *czaczę* miejscowej produkcji, twierdząc, że dobre wino na tych wysokościach już się nie udaje. Może od rana zacznie świecić słońce.

Kolejny dzień ma charakter odpoczynkowo-relaksowo-aklimatyzacyjny, więc wstajemy niespiesznie. Niektórych do większej aktywności zmusza głód. O godzinie 9⁰⁰ wyruszamy na trekking do wioski Mutso. Droga łatwa i wygodna, w bardzo zielonym terenie. Pogoda też nie najgorsza, trochę słońca, przepłatane słabym deszczem. Idziemy czerwonym szlakiem wzdłuż potoku Argun, później jego dopływu, Andaki. Praktycznie cała siedmioosobowa grupa trzyma się razem. Z poziomu ok. 1700 m n.p.m. wznosimy się powoli. W pewnym momencie zbliża się do nas karawana złożona z sześciu koni. Pewnie jedyna szansa dla nas. Negocjacje przebiegają krótko i pomyślnie: trzy konie z dżygitami, na trzy dni, za 400 gruzińskich lari. Po około dwóch godzinach wędrowki roz-

dzielamy się. Nasi kierowcy: Jacek i Marek, wracają po auta, a my idziemy dalej - w trochę lepszych nastrojach. Ok. 13⁰⁰ dochodzimy do posterunku wojskowego w Mutso. Po pierwszym zamiarze pójścia dalej postanawiamy jednak poczekać na samochody. Korzystając z „wolnego czasu”, razem z Agnieszką idę na szczyt skalnej warowni, zbudowanej w Mutso na wysokości do 1900 m n.p.m. W międzyczasie jedna załoga pojechała z Jackiem do hotelu, a my z Markiem pojechaliśmy jeszcze do sąsiedniej wioski - w głąb kaukaskiej doliny. Koniec przejezdnej (z uwagi na śliskość) drogi nad potokiem i wśród malowniczych szczytów zmusił nas do powrotu. Plan na dzień następny był już jasny: wyruszamy na trekking. Pora więc na kolejne przepakowywanie bagażu: dla nas i dla koni.

W piątek, 5 lipca pobudka o godz. 6⁰⁰. Gwieździste niebo nocą wróżyło słoneczną pogodę i taka rano była. Śniadanie o siódmej, a już o 7³⁰ opuszczamy Szatili i wyruszamy na trekking w najpiękniejszych i najbardziej dziewiczych regionach Gruzji. Wyjeżdżamy w przeświadczeniu, że wszystko idzie zgodnie z planem. Mamy piękną słoneczną pogodę, zapas czasu na załatwienie formalności z pogranicznikami. Zwłaszcza że udało się uruchomić silnik Łady kierowanej przez Jacka. Dzień wcześniej, podczas zjazdu do Szatili, trzeba było zdejmować buty i wypychać auto z dużej kałuży, bo silnik nie chciał zapalić. Tymczasem, tuż przed przekroczeniem niewielkiego brodu w Mutso, postój. W aucie kierowanym przez Marka urwało się przednie lewe koło. Nie szczęście? Raczej szczęście w nieszczęściu. Pomimo ostrożnej jazdy wąską kamienistą drogą, pod górę, auto przesunęło się kilka metrów w lewo - od strony stoku! Powoli samochody wysuwają się na plan pierwszy naszej wyprawy. Rada w radę, auto zostaje rozładowane i zepchnięte bardziej na bok, bo w górskich warunkach trudno mówić o poboczu. Szczęściem, tuż obok jedyne go w okolicy siedliska stoi pojazd, nazywany przez Jurka W. „Kosyginem”. Jego właściciel godzi się za niewielką opłatą zawieźć bagaż i trzy osoby do wioski Khonichala, skąd mamy wyruszyć na wędrowkę. ▶

Cztery załogi terenowe w drodze do skalnego kompleksu Dawid Garedża, na granicy gruzińsko-azerskiej. Fot. Anna Olesiewicz.



► Sprawną Ładą podjeżdżamy do punktu granicznego (chodzi o zgodę na poruszanie się w strefie przygranicznej z Czeczenią) i załatwiamy sprawy rejestracyjne. Przy okazji dowiadujemy się, jakim szacunkiem cieszy się w Gruzji śp. Prezydent Lech Kaczyński, który wsparł Gruzinów podczas konfliktu z Rosjanami. Dlatego zgodzono się „po linii wojskowej” przekazać informację do firmy, która wypożyczyła nam auta, że jedno z nich, z urwanym kołem, zostało w Mutso. Gdy siedmioosobowa grupa dociera w końcu szczęśliwie do Khonichala, następuje załadowanie części naszego ekwipunku na trzy konie i karawana rusza w drogę. Naszym celem jest dotarcie do punktu biwakowego przed przełęczą. Po bardzo krótkim i płaskim podejściu wzdłuż potoku zaczynamy się wspinać. Podejście jest dość strome, ale na szczęście nie pada deszcz. Ponieważ podłoże jest gliniaste, bogate w substancje organiczne, dlatego w wilgotnych miejscach na ścieżce robi się błoto. Gdyby padał deszcz, podejście byłoby mozolne. Słońce nie jest uciążliwe, ponieważ jesteśmy chronieni przez liście drzew. Po wyjściu na wypłaszczone ścieżkę postanawiamy odpocząć. Posilanie się kończymy jednak szybko, bo zaczyna padać Teraz wędrówka czerwonym szlakiem, po wąskiej błotnistej ścieżce, wśród traw, jest męcząca, ale okolica malownicza. Na szczęście deszcz nie jest ciągły. Można podziwiać piękną roślinność, kwitnące łąki (m.in. łąny żółtych pierwiosnków), w tym także całe zbocza pokryte różanecznikami kaukaskimi (*Rhododendron caucasicum Pall.*) o pięknych białych kwiatach i różowych pączkach. Warto dodać, że w Kaukazie na wysokości ok. 2000 m n.p.m w pierwszej połowie lipca jest wiosna. Widoki w Wielkim Kaukazie są wspaniałe. Na szlaku spotykamy nielicznych (w sumie chyba pięciu) wędrowców. Góry są ogromne i puste. Na miejsce zaplanowanego biwaku dochodzimy ok. 16⁰⁰. Trochę zmęczeni, ale w dobrej formie. Rozbijamy namioty i... zaczyna padać. Po długiej wędrówce, mimo że dzień jest też długi, trochę odpoczywamy. Zwłaszcza, że przerwy w deszczu są coraz krótsze, a od wschodu widać krawędź przełęczy, którą chcemy pokonać.

Następnego ranka budzimy się wczesnie, gdy obóz jest jeszcze w cieniu przełęczy. Wspinaczkę po dość stromym kaukaskim grzbiecie rozpoczynamy przed dziewiątą, by po około dwóch godzinach

pojawić się na przełęczy Atsunta. Odpoczynek, posilanie się, podziwianie widoków, robienie zdjęć i „wypatrywanie” grupy Leszka zajmuje nam pół godziny. Współtowarzyszy wyprawy spotykamy dopiero nad rzeką Kvakhidistskali, po pokonaniu dość długiego, stromego zbocza góry. Jest cała ósemka, mają też konie, czeka ich przeprawa przez przełęcz. Na drodze do Omalo „porzucili” jedną zepsutą Ładę. W samochodach jest remis - 1:1. Nas czeka jeszcze dość długi, ale bardzo płaski odcinek trekkingu. Po drodze przekraczamy dwa brody, które wymagają zdjęcia butów. Pogoda jest wyśmienita: nie pada, ale słońce też nie jest ostre. Na miejsce drugiego biwaku docieramy ok. godz. 16⁰⁰. Przed zmierzchem odwiedzają nas trzech gruzińscy strażnicy graniczni, jednak najbliższymi szczytami biegnie granica z Czeczenią. Z pomocą Jacka Daniela udaje się dość szybko załatwić formalności, a nawet dojść do wniosku, że historyczne przysłowie „*Polak, Węgier, dwa bratanki...*” dotyczy także Gruzinów. Dość późno kładziemy się spać z przeświadczeniem, że w następnych dniach czekają nas nowe przygody, bo na piętnaście osób mamy tylko dwa sprawne auta.

W nocy z soboty na niedzielę trochę pada, ale kolejny dzień długiej wędrówki zapowiada się dobrze. Idziemy praktycznie cały czas wzdłuż rzeki Pirikita Alazani, czyli praktycznie w dół. Niewielkie podejścia wynikają z faktu, że niektórych odcinków nie można przejść korytem rzeki. Mijamy także dopływające potoki, które pokonujemy w bród. Niżej pojawiają się pojedyncze kładki. Podziwiamy już nie tylko monumentalne ośnieżone szczyty, górskie widoki uzupełniają także ruiny dawnych kamiennych wież i architektura średniowiecznych osad. Tempo wędrówki jest dość dobre, ale po wypatrzeniu pierwszego kolorowego „parasola” udaje się jeszcze przyspieszyć. W tym miejscu trzeba dodać, że Gruzini wykazują spory potencjał w rozwoju przedsiębiorczości, nawet w tak trudnym terenie. Delektowanie się zimnym piwem zajęło nam godzinę. Około 15⁰⁰ ruszamy w dalszą drogę, nie odmeldowując się na kolejnym posterunku wojskowym. Po niecałych dwóch godzinach docieramy do pierwszej w Tuszetii wioski, Chesho, którą zamierzaliśmy minąć w drodze do niżej położonej miejscowości Dartlo. Okazało się jednak, że w tej wiosce Leszek pozostawił sprawne auto, więc i koniuszy tutaj „porzucili” nasz

ekwipunek. W tej sytuacji Jacek z Jurkiem W., Ewą i Agnieszką oraz z częścią bagażu jadą do Omalo - „stolicy” Tuszetii, krainy u podnóża Wysokiego Kaukazu. Natomiast Jurek K., Marek B. i ja pozostajemy w miejscowym hoteliku „*Village Ekaterine*” z zamiarem czekania na powrót Jacka. Czekanie przedłuża się do kilku godzin, ale właścicielka hoteliku nie daje się długo prosić, aby nas trochę posilić. O 20⁰⁰, gdy już zamierzamy negocjować cenę noclegu, podjeżdżają dwa auta: Niva i Honda. Okazuje się, że firma *rent a car* z Tbilisi wysłała ekipę, która naprawiła auto (awaria termostatu, przegrzany silnik) i podstawiała go do Chesho, kierując się m.in. informacjami od strażnika (rangera) Parku Narodowego Tuszetii. Trzeba pamiętać, że jest niedziela. W górach byliśmy poza zasięgiem telefonii komórkowej. Sytuacja nieprawdopodobnie zaskakująca! Przedstawiciel firmy z Tbilisi zapytał tylko, gdzie zamierzamy jechać tym samochodem. Na wiadomość, że do Stepancmindy, pod Kazbekiem w północno-wschodniej Gruzji, stwierdził:

- *Musicie bardzo kochać góry.*

W krótkim czasie pojawia się jeszcze Toyota Land Cruiser z kierowcą, którego Jacek wynajął, aby nas „zwiózł” do odległego o 25 km Omalo. Sam był zbyt zmęczony, aby nocą jechać tą górską drogą. Warto dodać, że drogi, po których poruszamy się, są przez ok. 7-8 miesięcy zamknięte z uwagi na zalegające śniegi. W Dartlo, Chesho i wyżej położonych osadach na zimę pozostają pojedyncze osoby, a w Omalo „zimuje” 7 rodzin. Pozostali mieszkańcy wyjeżdżają do niżej położonych miejscowości. Kwaterujemy się w pensjonacie Nino, gdzie po dniu pełnym wrażeń i po ciepłej kolacji idziemy spać.

Kazbek (po raz pierwszy?)

Majestatyczna góra Kazbek - drugi cel naszej wyprawy, to dla Gruzinów *Mkinwarcweri*, czyli Zamarznięty Szczyt. Niektórzy uważają go za najwyższy szczyt Gruzji (inni widzą w tej roli trzeci co do wysokości szczyt Kaukazu, mierzący 5058 m n.p.m. górę Szchara). Aby dostać się w rejon tego drzemającego wulkanu, musimy zjechać na niziny i znowu dojechać do zapory Zhinvali. Odcinek drogi górskiej, liczący ponad 72 km, składa się praktycznie z podjazdu na liczącą 2926 m n.p.m. przełęcz Abano i ze zjazdu z prze-

łączy do Pszaweli. Jest to fascynująca górską drogą, jedna z najtrudniejszych dróg typu *off road*, zaliczona do 8 najbardziej krętych dróg świata (<http://www.travelin.pl/top/8-najbardziej-krętych-drog-swiate/droga-przez-przelec-abano-gruzja>). Cały czas towarzyszą nam wysokie skaliste zbocza nad drogą i ponadstymetrowe przepaście pod nią. Od czasu do czasu przystajemy, aby ochłodzić silniki i zrobić kilka fotografii. Na 43. kilometrze, w domu pracownika nadzorującego stan drogi, odbieramy 4 duże ładunki z naszymi bagażami „na Kazbek”, pozostawione przez Leszka po awarii samochodu, które nie wytrzymało trudu pokonania przełęczy. Na nizinach do kierownicy udaje się „dobić” Ewie, co przy zamiłowaniu Jacka do kierowania autem nie jest łatwe. Po wjechaniu na Gruzińską Drogę Wojenną tankujemy paliwo i w końcu przyspieszamy, ale tylko do miejsca, gdzie kończy się asfaltowa nawierzchnia. Licząca 208 km międzynarodowa droga z gruzińskiego Tbilisi do rosyjskiego Władykaukazu w Osetii Północnej okazuje się znowu drogą gruntową, a momentami placem budowy. Dodatkowo zaczyna padać deszcz. I tak dobrze, że nie podczas jazdy górską drogą z Omalo. Mijamy Gudaury, jeden z największych ośrodków narciarskich w Gruzji. Do położonego na wysokości 1750 m n.p.m. miasteczka Stepancinda (do niedawna: Kazbegi) przyjeżdżamy wprost na kolację i spotkamy się z drugą częścią grupy. Radości i dyskusjom z powodu szczęśliwego, żeby nie powiedzieć „cudownego” zakończenia trekkingu nie było końca. Okazało się, że ekipa Leszka również miała wiele szczęścia. Ich, tzn. wcześniej nasze auto też zostało naprawione (zerwany sworzeń, pęknięta półośka).

Wtorek jest dniem przeznaczonym na odpoczynek po trudach trekkingu i podróży. Stepancinda to turystyczne centrum Gruzji, dlatego idziemy na spacer po miasteczku, w którym urząd pocztowy może pretendować do jednej z większych atrakcji. Wejść można bez biletu, ale nie wypada fotografować urzędniczki, która urzęduje przy „kozio”. Kupuję jedynie oryginalne pocztówki, wydane przez Gruzińską Socjalistyczną Republikę Radziecką, która w 1991 roku (!) odzyskała niepodległość jako Gruzja. Po południu niewielki wypad na północ, aby obejrzeć wodospady, ponieważ część uczestników wyprawy przewiduje na zwiedzanie okolic Kazbegi jeszcze trzy dni, ale pozostali

pakuja sprzęt i ubrania na wyprawę na Kazbek. Internet jest wszędzie. Dociera do nas informacja o kolejnym wypadku w górach. Artur Hajzer, legenda polskiego himalaizmu, zginął 7 lipca na Gaszerbrumie I w Pakistanie. Bieżący rok nie jest dobry dla „górolazów”. Pamiętając, że z uwagi na znaczne nachylenie stoków, dochodzące nawet do 60 stopni, Kazbek jest górą znacznie trudniejszą niż popularny Elbrus, kolejne dwie osoby z naszej ekipy postanawiają zwiedzać okolice Stepancindy.

W dwunastym dniu wyprawy, w ośmioosobowym składzie wyruszamy na szlak w kierunku „meteostacji” - bazy noclegowej pod Kazbekiem. Do XIV-wiecznego klasztoru Cinda Sameba, głównej atrakcji turystycznej w okolicy, dojeżdżamy dwoma samochodami. Kościół jest położony na wzgórzu Gergeti, na wysokości ok. 2200 m n.p.m. Tutaj konie mechaniczne zamieniamy na dwa żywe konie, które poniosą część naszych bagaży do lodowca. Sami wyruszamy na kolejną piękną wędrowkę po gruzińskim Wielkim Kaukazie. Roślin wysokich tutaj niewiele. Początkowo wędrujemy głównie po wydeptanych w trawie ścieżkach. Widoki rozległe, cisza. Wędrowców jest niewielu. Spotkany można mówić „dzień dobry”, bo w dominującej większości to Polacy. Gdyby nagle stąd wyjechali, zrobiłoby się autentycznie pusto. Po drodze mijamy biały krzyż, przy którym niektórzy turyści wysokogórscy zawracają do doliny. Dalsza droga staje się już trudniejsza: po kamienistym podłożu, przez rwące potoki, bardziej stroma. Dochodzimy do czoła lodowca Ordzweri (Gergeti), przez który trzeba przejść, aby dotrzeć do schroniska. Na lodowcu jeszcze nie używamy lin i raków, ponieważ jest on dość dobrze rozpoznany przez wędrowców, niezbyt stromy i pozbawiony warstwy śniegu. Gdy stajemy przed ogromnym ponurym gmaszyskiem byłej radzieckiej stacji meteorologicznej, która obecnie pełni funkcję schroniska o nazwie „*Bethlemi Hut*” (proszę nie wyobrażać sobie tatrzańskiej drewnianej chaty), jesteśmy na wysokości 3653 m n.p.m. Jesteśmy mokrzy - bo pada, spoceni i trochę zmęczeni oraz zmarznięci - bo zimno. Wchodzimy więc na chwilę do jednego z pomieszczeń, w którym „załoga placówki” gotuje wodę. Gorąca herbata i trochę *czaczy* pozwalają krwi krążyć szybciej. Bierzymy się za postawienie trzech namiotów. Penetracja bazy koncentruje się na rozległych wido-

kach w dół - na lodowiec, i w górę - na ośnieżony szczyt Kazbeku. Obok schroniska stoi niewielki obelisk, poświęcony Marii i Lechowi Kaczyńskim, postawiony w 2012 roku przez członków Solidarności. Oczywiście, polskich akcentów w Gruzji jest więcej - projekt wyznaczania szlaków turystycznych w Kaukazie był w 2012 r. współfinansowany w ramach programu polskiej współpracy rozwojowej Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP. Wraz z zapadającym zmierzchem zapadają też decyzje, kto wyrusza w nocy na atak szczytowy, a kto zostaje w namiotach. Wynik: sześć do dwóch. Noc, jak na warunki wysokogórskie, bardzo spokojna, bez wiatru i deszczu. Nastroje też dobre.

W czwartek, 11 lipca, o trzeciej w nocy wychodzimy z obozu. Ja jestem ostatni. Jest ciemno, więc bez czołówki ani rusz, ponieważ droga, a w zasadzie bezdroże, pełne jest dużych kamieni i skał. Początkowy odcinek trasy zwykle pokonuje się szybko, bo zimno, bo wszyscy są pełni sił, bo ... nic nie widać. Świt zastaje nas praktycznie na czole lodowca. Teraz już niezbędne jest pełne uzbrojenie: uprząże, liny i raki. Ewa postanawia pozostać w rozbitym nieopodal (przez Polaków, oczywiście) namiocie. A więc w pięcioosobowym „tramwaju” (do którego dołącza jeszcze dwójka innych Polaków z Łodzi) ruszamy do ataku szczytowego. Droga coraz trudniejsza. Trzeba torować ją w kopnym śniegu. Znaczne nachylenie lodowca powoduje, że musimy być bardzo ostrożni. Idziemy we mgle, w której nie widać wszystkich wspinaczy, uwiązanych do jednej liny. Około siódmej rano, na hasło „stój”, robimy niewielki odpoczynek. Mija nas kilkusobowa ekipa schodząca ze szczytu (?!). Okazuje się, że nie widząc możliwości wejścia na szczyt, zawracają. My idziemy dalej, ale... zaczynamy sobie przypominać, że oprócz zdobycia szczytu pięcioletniaczka mamy też jeszcze kilka innych celów. Spoglądając za siebie, słyszę Marka Ł.: „*mam jeszcze parę ważnych spraw do skończenia*”. W rejonie przełęczy pod szczytem Kazbeku, za którą jest już Rosja, na krótką chwilę odslania się niebo. Tak krótką, że o zrobieniu jakiegokolwiek sensownego zdjęcia nie ma mowy. Ujrzelśmy ścianę zachodniego stoku szczytu. Zobaczyliśmy też, gdzie jesteśmy: na stromym zboczu ośnieżonego lodowca.

(ciąg dalszy na stronie 34)



Inauguracja rozgrywek II ligi w Limanowej. Mecz Concordii Elbląg z Limanovią-Szubryt.

Historyczny mecz na odnowionym stadionie

Po wiosennym awansie do II ligi grupy wschodniej, możliwość rozgrywania meczy na własnym boisku stała się niemożliwa, gdyż nie były spełnione wymagania dopuszczające przez PZPN stadion do rozgrywek na tym poziomie.

Po intensywnych pracach trwających niespełna miesiąc stadion przeszedł generalny remont, w wyniku którego 16 sierpnia otrzymał od Komisji Licencji Krajowych PZPN w Warszawie zezwolenie na rozgrywanie meczów w sezonie 2013/14.

Obecnie stadion im. Romana Szumilasa przy ul. Józefa Marka ma pojemność 959 numerowanych miejsc, na co składa się 859 miejsc siedzących zarezerwowanych dla mieszkańców Limanowej i piłkarskich kibiców, w tym 30 miejsc w sektorze wydzielonym dla osób o szczególnym statusie (vipów) – 20 miejsc i dziennikarzy – 10 miejsc. W odgraniczonym sektorze, ogrodzonym siatką wysokości 4 metry, dla kibiców drużyny przyjezdnej znajduje się 100 miejsc siedzących, obok niej mieści się ogrodzony wydzielony parking dla autokarów gości.

Tak więc limanowska drużyna piłki nożnej „Limanovia Szubryt” po raz pierwszy w historii tego zasłużonego sportowego klubu mogła rozegrać 1 września br. przed własną publicznością mecz w II lidze. Rywalizacja między drużynami Limanovia Szubryt – Concordia Elbląg mimo wyraźnej przewagi gospodarzy zakończyła się remisem (0:0).

Udział w realizacji inwestycji pozwalającej na uzyskanie licencji miały trzy podmioty: w znacznej większości środki finansowe były z budżetu miasta, a także od strategicznego sponsora limanowskiej drużyny Zbigniewa Szubryta oraz funduszy klubu. O tym fakcie publicznie poinformował kibiców spiker prowadzący pierwszy historyczny mecz o mistrzostwo II ligi, grupy wschodniej.

Poniżej publikujemy zestaw prac wykonanych przy modernizacji stadionu.

Ze środków budżetu miasta sfinansowano prace:

- wymieniono 859 krzesełek na trybunie głównej oraz 100 krzesełek na trybunie dla kibiców drużyny gości,
- zainstalowano 12 kamer w tym dwie obrotowe do monitoringu stadionu,
- wymieniono obie bramki meczowe, które spełniają wymagane standardy,
- zmieniono ogrodzenie od strony ulicy - siatkę zastąpiono blachą trapezową,
- wykonano ogrodzenie z siatki wysokości 4m w obrębie trybun w sektorze wydzielonym dla kibiców gości,
- przygotowano parking dla autokarów kibiców gości, odgradzając go od części stadionu z wjazdem oddzielną bramą,
- zakupiono niezbędne wyposażenia techniczne do usprawnienia prowadzenia meczów, takie jak: dwa miejscowe zadaszone pomieszczenia dla sędziów technicznych, pomieszczenie dla kierownictwa ds. bezpieczeństwa oraz obsługi monitoringu oraz zegar elektroniczny,
- wykonano adaptację trybuny głównej, w tym poprawiono drogi dojścia i wyjścia.

Strategiczny sponsor limanowskiej drużyny Zbigniew Szubryt:

- zatrudnił na 22 etatach zawodników, trenera, masażystę i kierownika drużyny,
- opłacił wszelkie należności rejestracji zawodników do PZPN, MZPN, LPPN,
- zakupił serwery czytników do elektronicznej sprzedaży biletów wstępu,
- wykonał elewację pawilonu klubowego z płytek od strony boiska

- przeprowadził estetyzację elewacji pawilonu klubowego ze-wnętrz i wewnątrz oraz pomieszczeń sali konferencyjnej,
- poprawił estetykę zieleni przy pawilonie klubowym,
- wymienił banery sponsorów klubu na stadionie,
- przygotował urządzenia nawadniające płytę boiska oraz parking zewnętrzny dla osób funkcyjnych,
- dokonał adaptacji pomieszczeń szatni dla zawodników,
- wymienił tablice informacyjne na stadionie.

Z funduszy klubu:

- wymalowano pomieszczenia szatni dla zawodników,
- dokonano adaptacji pomieszczenia medycznego dla zawodników, trenera i kibiców oraz go wyposażono,
- przygotowano i wyposażono pomieszczenie dla obserwatora i delegata PZPN,
- przygotowano pomieszczenie socjalno-sanitarne dla sędziów,
- zakupiono: nowoczesny wózek do malowania linii boiska, nosze ratownicze, dwa łóżka fizjoterapeutyczne, troje drzwi do pomieszczeń szatni, tablicę do rozwiązań taktycznych, kosę spalinową, pompę i węże do podlewania murawy boiska, zegary do pomieszczeń klubowych, piec gazowy do grzania ciepłej wody do kąpieli oraz ogrzewania obiektu,
- pozyskano od sponsorów: 80 litrów farby, 80 ton piasku i 100 ton ziemi, płyny do prania i płukania strojów sportowych, dwie pralki automatyczne,
- przystosowano ze środków sponsorów: dwa miejsca dla osób niepełnosprawnych, wykonano przyłącze internetowe, odpłatne tablice informacyjne klubu i trybun oraz pawilonu klubowego,
- przygotowano Regulamin Stadionu i Regulamin Imprez Masyowych,
- wprowadzono elektroniczną sprzedaż biletów na wszystkie mecze oraz przedsprzedaż biletów w określone dni w Limanowej.

Z powyższych informacji wynika, ile środków oraz osobiste zaangażowania wielu miłośników piłki nożnej należało uruchomić, aby zrealizować stawiane wymagania do uzyskania certyfikatu dopuszczającego limanowski stadion do gry w II lidze.

Zapewne rekompensatą za poniesiony trud byłyby dobre wyniki sportowe drużyny, które umożliwiłyby zajęcie co najmniej ósmej pozycji w grupie zapewniające pozostanie w zreformowanej II lidze w kraju, czego życzy redakcja „Echa Limanowskiego”



Na dzień zamknięcia „Echa” (21 października), po trzynastu kolejkach Limanovia – Szubryt z 18 punktami i stosunkiem bramek (13:18) zajmuje ósmą pozycję w II lidze grupy wschodniej.

Spośród trzynastu meczy drużyna pięciokrotnie zwyciężyła, były trzy remisy, pięć porażek (jedna walkowerem ze względów proceduralnych). W Limanowej rozegrano zaledwie cztery mecze, (trzy zwycięstwa, jeden remis), na wyjeździe dziewięć meczy (dwa zwycięstwa, dwa remisy i pięć porażek).

Po raz pierwszy drużyna zajmuje ósmą pozycję gwarantującą dalszą grę w II lidze. Pozostało do rozegrani w rundzie jesiennej jeszcze 5 meczy, w tym 3 w Limanowej. Kolejno są to: z Olimpią Elbląg (11 pozycja) - w Elblągu, ze Zniczem Pruszków (7 p.) - w Legionowie, z Legionowem (12 p.) - w Legionowie, z Olimpią Zambrów (16 pozycja) i ze Stal Stalową Wolą (4 p.).

Redakcja „Echa” życzy, aby drużyna „Limanovia – Szubryt” zrealizowała minimum założenia i na koniec jesiennej rundy utrzymała przynajmniej ósmą pozycję.

Tekst i fotografie: Stanisław Ociepka



Osobowy Nr. 1214.

Prędkość zasadnicza: Nowy Sącz—Chabówka 50 km., Chabówka—Sucha 60 km.

Z wagonami 1, 2 i 3 klasy.

Stacje	Czas jazdy		Przyjazd		Postój	Odjazd		Mija pociągi Nr.	skrócony czas jazdy	Konieczne hamowanie w ‰	Przepisowe obc. dla parowozów serji	
	m.	g.	m.	m.		m.	g.				m.	Ok11
											t	o
Nowy Sącz	—	—	—	—	—	—	7 35		—	—		
Nowy Sącz m. p. o.	4		7 39	2			4 1		4	33		
Marcinkowice	10		5 1	1			5 2	1290, 1299	10			
Klęczany p. o.	6		5 8	1			5 9		5			
Męcina	11		8 10	1		8	1 1		7	37		
Pisarzowa	14				▲		2 5	1288B, 1289	10			
Limanowa	8		3 3	1			3 4		8			
											120	180

Służbowy rozkład jazdy pociągów na liczącym 184 km dystansie Zwardoń-Nowy Sącz na rok 1927.

Kolej transwersalna. Zdarzenia

Zbigniew Sułkowski

Nie wspomniałem wcześniej, może powinienem, że już cztery lata temu ukazało się grube, bogato ilustrowane dzieło pod takim właśnie tytułem – „Kolej transwersalna”.

No cóż ... przed laty Ignacy Rzecki w „Lalce” wyraził opinię autora na temat „Grunwaldu” Jana Matejki – „...duży obraz i okazały, tylko nie trzeba go pokazywać żołnierzom, którzy przyjmowali udział w bitwach.”

Ironia, może nie tyle dotycząca strony artystycznej, co realiów tematu - dla B. Prusa, czynnego uczestnika Powstania Styczniowego żadna bitwa, nawet pod Grunwaldem, nie mogła wyglądać jak Matejkowa.

Skojarzyło mi się to z „Koleją transwersalną” (wyd. Rybnik 2009), bo dzieło „okazałe” (format i waga) na kredowym papierze z dużą ilością dobrej jakości fotografii i ... nie mniej dużą liczbą błędów! Zobligowany przez PT autora, który wykorzystał, zresztą bez porozumienia, ileś tam moich zdjęć, czyniąc mnie tym samym w jakiejś części współwinnym opracowania, zwróciłem się wprost do osoby

odpowiedzialnej, czyli wydawcy. I usłyszałem rezolucję – Błędów jest rzeczywiście dużo, ale przyzna pan, że takie wydanie to i tak sukces.

Hm ... z „sukcesem” to nawet dyskutować się nie da... Ale ponieważ po czterech latach cena zmalała i księga łatwiej może trafić pod limanowskie strzechy, wypada mi to i owo sprostować i uzupełnić. I tu trudność – treść jest artykułowana chaotycznie i stylem czasem tak kulawym, że trudno się domyślić czy błąd jest wynikiem niewiedzy, czy nieporadności językowej.

Przeto tylko o uchybieniach najważniejszych. I oczywiście zajmę się tu tylko odcinkiem transwersalki Chabówka - Nowy Sącz, stanowiącym ok. 1/4 wyartykułowanej całości.

Chwalebne jest, że autor specjalistycznego opracowania z dziedziny kolei potrafi wyjść poza wąskie ramy kolejowego plantu. Gorzej już z rzetelną informacją, na przykład wg autora limanowska rafineria ropy korzystała z okolicznych odwiertów, a produkcję zakończyła już w latach dwudziestych. Jak

wiadomo, poszukiwania w pobliżu Limanowej nie dały zadawalających rezultatów (przerabiano ropę z odległego Borysławia), zaś produkcję przerwano dopiero w roku 1934. Sporo błędów też jest w opisie walk pod Limanową w 1914 r. i udziale w nich Legionów Piłsudskiego. Praktycznie zupełnie pominięto najważniejsze, związane z koleją tragiczne wydarzenia okresu II wojny światowej na naszym terenie, choćby krwawą pacyfikację leżącą między Dobrą a Kasiną Wielką Porąbki w 1944 r. A stacje w Chabówce, Zarytem i Limanowej (dodatkowo w Tymbarku i Pisarzowej) zniszczone zostały nie w 1939 r., lecz w 1945. Można by ciągnąć, ale ... wyblęsnął mi nagle z pamięci obrazek z „Zakopanopticonu” Struga - na Boczaniu „dwóch uczonych tarzających się po drodze i wyrywających sobie nawzajem jakiegoś motyla”.

Jednym z moich „motyli”, nikomu zresztą nie wyrwanym, jest unikalny dokument – służbowy rozkład jazdy pociągów na liczącym 184 km dystansie Zwardoń - Nowy Sącz na rok 1927. W odróżnieniu od ogólnodostępnego, służbowy rozkład obejmuje kursowanie nie tylko pociągów pasażerskich, ale także towarowych i innych. Informuje jakie typy lokomotyw prowadzą określone pociągi na danym odcinku trasy i jaki ciężar składu jest tam dopuszczalny. Gromadzą również szereg drobniejszych informacji pozwalających, zwłaszcza po latach, określić specyfikę funkcjonowania trasy kolejowej.

Przykładem fragmentu strony tego rozkładu. Co na niej ciekawego?

A to, że dopuszczalna prędkość maksymalna pociągów na odc. N.Sącz - Chabówka w 1927 r. to 50 km/h (całkiem przyzwoita na górską trasę) i dystans N.Sącz - Limanowa pociąg pokonywał w ok. 1 godzinę, co z trudem utrzymano przez kolejnych 75 lat (!) Dowiemy się też przy okazji, że pociągi osobowe na trasie prowadziły w 1927 r. parowozy austriackie OK111/12 i O111/12 - maszyny nie przeznaczone konstrukcyjnie do pracy w górach i dlatego obciążenie pierwszego z typów wynosić mogło tylko 120 t (5 wagonów dwuosioowych) drugiego typu - 180 t (7-8 wagonów) itd. itp. dotyczące ruchu wszelkich pociągów, a nawet lokomotyw pomocniczych przesyłanych luzem jak np. parowóz Tp15 z Dobrej, obsługujący w Limanowej pociąg stacja - Rafineria.

O znaczeniu linii kolejowej świadczył oczywiście ruch towarowy, ładownie towarowe istniały na wszystkich stacjach, a w Rabce, Mszanie Dolnej i Limanowej dodatkowo oddziały ekspedycji z magazynami. Prócz tego przy stacjach lub między nimi powstały bocznice ładunkowe różnych przedsiębiorstw. I tak wg stanu po roku 1945 funkcjonowały następujące: w Mszanie Dolnej (tartak), w Tymbarku – aż trzy bocznice należące do miejscowej Owocarni i jedna tartaku, w Łososinie Grn. większa bocznicami miejscowej „Bednarni” i jednotorowa betoniami. Największą z bocznic dysponowała sowlińska Rafineria (po 45 r. CPN) do limanowskiej stacji przyległa bocznicami Spółdzielni „Kosa”, a ostatnią przed Nowym Sączem usytuowano przy kamieniołomie w Kłęczanach. Bocznicami w Tymbarku, Łososinie, Rafinerii i Kłęczanach dysponowały też własnymi lokomotywami do ruchu wewnętrznego. Ostatnia z wymienionych, przy dużym kamieniołomie, była po II wojnie sukcesywnie rozbudowywana. Najpierw z zastosowaniem nawrotu wybudowano jej drugi poziom kilkanaście metrów wyżej, kolejnym etapem była rozbudowa torowiska „bocznicami dolnej” i budowa własnego toru do odległej o 2 km stacji w Marcinkowicach wraz z własnym systemem torów rozrządowych. Uzupełnieniem inwestycji była instalacja w 1987 r. sieci dla trakcji elektrycznej na odcinku Marcinkowice – Nowy Sącz dla usprawnienia ruchu towarowych wahadeł z kruszywem.

I co? ... I ową specjalną łącznicą przemysłową nie przejechał ani jeden pociąg. W połowie lat 90-tych sprzedano ją na złom.



Skutki katastrofy z 30 lipca 1903 r. w Chelmcu... i okazja do pamiątkowego zdjęcia.

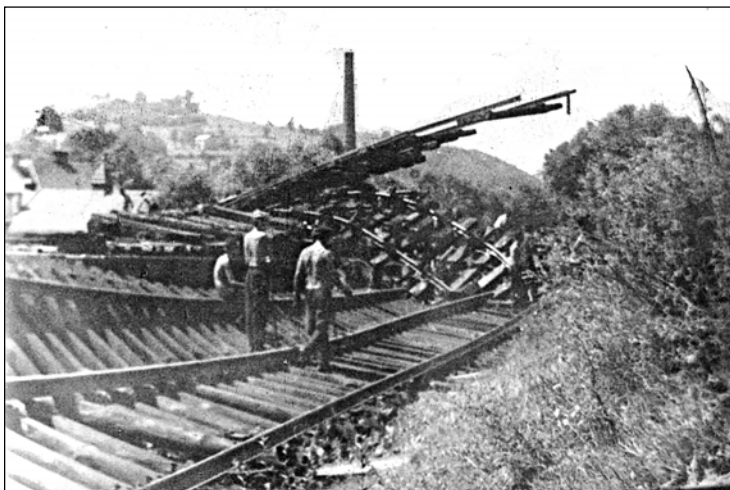
Marcinkowice były też miejscem najtragiczniejszej w skutkach katastrofy kolejowej na linii Chabówka – N. Sącz. 13 01 1964 r. wskutek nieuwagi dyżurnych ruchu pociąg osobowy do Nowego Sącza został odprawiony ze stacji na stojący pod semaforem towarowy. W wyniku zderzenia 10 osób miało zginąć, kilkadziesiąt ulec obrażeniom. Owe dane tylko w przybliżeniu, bo w tamtych latach cenzura pilnowała, by podawane oficjalnie informacje nie były zbyt drastyczne.

Wiele lat wcześniej, 30 lipca 1903 r. w rejonie Marcinkowic doszło do kolejowej kraksy specyficznej dla terenów górskich. Najczęstsze przyczyny katastrof w górach to awarie hamulców przy zjeździe, albo tzw. zbiegnięcia taboru kolejowego.

Wg języka kolejowych pojęć, pociąg nie jedzie, a BIEGNIĘ. Stąd mowa o biegu pociągu, przebiegu trasy czy zbiegnięciu (ucieczce) wagonów po spadku toru.

Jeszcze nieodzowne uzupełnienie. Stacja Marcinkowice leży w najniższym punkcie naszej linii – 275 m n.p.m. W kierunku N. Sącza trasa się nieznacznie wznosi, osiągając po dystansie 10 km 295 m n.p.m. W stronę przeciwną tor po minięciu Kłęczan zaczyna mocno się wznosić w kierunku kolejnej stacji Męcina.

Owego dnia w Marcinkowicach następowała mijanka (w Galicji mówiono: krzyżówka) pociągu osobowego do N. Sącza z towarowym w kierunku Limanowej. Ówczesne pociągi nie dysponowały jeszcze powietrznymi hamulcami zespolonymi Westinghouse'a, hamulce ręczne obsługiwali konduktorzy na odpowiedni sygnał gwizdkiem lokomotywy. Na stromym podjeździe przed Męcina od towarowego odezło się 13 wagonów i zaczęło zjeżdżać z powrotem. W zerwanym składzie było tylko dwóch hamulcowych, którzy po zakręceniu do końca hamulców w swoich wagonach, wyskoczyli, póki się jeszcze dało. ▶



Katastrofa w Sowlinach w czerwcu 1968 roku.



► Ich rola się już skończyła. Nadzieją były Marcinkowice. Przepisy nakazywały bowiem, by zwrotnice wjazdowe na stację od strony wzniesienia ustawić po wyjeździe pociągu do jazdy na boczny ślepy tor. Ale i w tamtych czasach nie wszystko działało perfekcyjnie, bo tym razem obowiązku nie dopełniono. Odbiegły wagony „przeleciały” bezkolizyjnie przez stację i pognały w stronę Sącza, choć teren tu już leciutko się wznosił i dopadły nie spiesząc się wiadać osobówkę w Chełmcu. W rozbitych dwóch ostatnich wagonach poważnie ucierpiało 18 pasażerów.

16. 08. 1951 r. maszynista parowozu Ty2 z towarowym w stronę Limanowej zgłosił w Kasinie Wielkiej kierownikowi pociągu awarię hamulców. Ten zbagatelizował sprawę i nalegał, by jechać - Będziesz hamował kontrparą!

Chodzi tu o sposób manewrowania suwakiem silnika parowego na moment obrotu powodujący zatrzymywanie tłoków, a więc i hamowanie lokomotywy wszyst-

czyło przy podjeździe pod Kasinę Wielką, gdyby pod semaforem nie stał parowóz. Zginął uczepony wagonów kolejarz, który nie odważył się wyskoczyć wcześniej.

Ale do największej tego rodzaju katastrofy, choć bez ofiar śmiertelnych, doszło w Limanowej w czerwcu 1968 r. podczas generalnego remontu linii. Przyczynę relację uczestnika zdarzenia, emerytowanego kolejarza z Limanowej, pana Stanisława Michalika.

„...Roboty prowadzone były przez Oddział Zmechanizowanych Robót Drogowych PKP w Krakowie. Zgodnie z procedurą na zamknięty szlak do miejsca wymiany (nawierzchni) wyprawiony został ze stacji Limanowa pociąg zrywkowy, który przy pomocy specjalnych dźwigów bramiastych dokonywał zrywki starego toru i załadunku przeseł na wagony. Po przygotowaniu torowiska na miejsce należało wyprawić pociąg układowy z załadowanymi nowymi przesłami torowymi.

czenia znacznej części wagonów obu pociągów, nowych przeseł szynowych oraz innego sprzętu.

W wyniku zdarzenia ranni zostali jadący na tych wagonach zawiadowca odcinka drogowego, kierownik pociągu oraz manewrowy, którzy dla uniknięcia tragiczniejszych skutków zmuszeni byli do wyskakiwania z pędzącego składu wagonów.

Robotnicy pracujący przy pociągu zrywkowym, słysząc loskot pędzących wagonów, zdążyli uciec z miejsca katastrofy.”

Uzupełnię od siebie, że autor w/w relacji był jednym z trzech ratujących się od pewnej śmierci desperackim skokiem z pociągu.

Obecny wówczas w Limanowej mój brat zdołał wykonać prymitywnym aparatem trzy zdjęcia, zanim nie pogoniła go za to szpiegostwo Służba Ochrony Kolei. Zdjęcia, choć nie najlepszej jakości dają pojęcie o materialnych skutkach katastrofy.



Tybark 1987 r. Z prawej bocznicą widoczną w tle suszarni owoców; obok parowozu wjazd na bocznicę nie istniejącego dziś tartaku.



Marcinkowice w 1975 roku zastawione składami szutrówek z urobkiem.

kimi kołami napędowymi. Na spadku 27 promil w stronę Dobrej nie mogło się to udać. Rozpędzony poza granice bezpieczeństwa pociąg pomyślnie minął zwrotnicę wjazdową w Dobrej i przemknął obok budynków dworca, „aż liśćmi sypnęło z drzew”. Jadący tendrem do przodu parowóz wykołosił się jednak na zwrotnicy wjazdowej i zarył ponad metr głęboko w ziemię. W zmiażdżonym wagonie służbowym śmierć poniósł kierownik pociągu. I darujmy sobie komentarze i analogie.

5. 09. 1960 r. z Chabówki zbiegły w stronę Mszany cztery wagony z węglem. 15 km spadku przejechały szczęśliwie i pewnie by się wszystko dobrze skoń-

Przed wyprawieniem tego pociągu dyżurny ruchu stacji Limanowa oraz Kierownik pociągu układowego nie dokonali sprzęgnięcia lokomotywy z wagonami i próby hamulców. Lokomotywa takiego pociągu ze względu na technologię robót musi znajdować się z tyłu pociągu. Po wyprawieniu tego pociągu ze stacji Limanowa z powodu dużego spadku profilu toru i ciężaru pociągu załadowanego nowymi przesłami torowymi doszło do zbiegnięcia składu na szlak i po nabraniu dużej prędkości najechaniu (po dwóch kilometrach) na pracujący pociąg zrywkowy, w wyniku czego doszło do znisz-

Co ciekawe, przejezdność linii przywrócono jeszcze tego samego dnia (!) a ów remont kapitalny całego szlaku Chabówka – Nowy Sącz w 1968 r. musiał starczyć na kilka kolejnych dziesięcioleci. Ale nie tylko prześcieradło nie może 50 lat być prześcieradłem; droga żelazna, nie regenerowana jak należy, również.

Stąd piszę dla tutejszej jej „non omnis moriar”, nieudolne takie...

Fotografie:
arch. Zbigniewa Sułkowskiego



Pomnik powróci na rondo

Urzędnicza „droga” pomnika „Niezanego Żołnierza” na Rondo „Niepodległości”, pozostaje nietatwa. Od dwóch lat rozebrany na fragmenty i zdeponowany w magazynie cierpliwie oczekuje na rekonstrukcję.

Kwestia powrotu pomnika na jego historyczne miejsce wielokrotnie była podejmowana na łamach „Echa Limanowskiego”. Pisaliśmy o tym w wielu artykułach. W jednym z ostatnich zatytułowanym: *Pomnik Niezanego Żołnierza ma powrócić na swoje miejsce*, w nr 224-225, maj – czerwiec 2013 r., grupa inicjatywna przekonana, że podjęta decyzja przez Radę Miasta ostatecznie rozwiązała ten problem, w tonie optymistycznym informowała społeczeństwo limanowskie, pisząc wówczas: *Drożdzy Czytelnicy, sympatycy „Echa Limanowskiego” z zadowoleniem, uznaniem i powagą przekazujemy Państwu, iż zgodnie z oczekiwaniem grupy inicjatywnej powołanej w celu przywrócenia na swoje pierwotne historyczne miejsce pomnika Niezanego Żołnierza, który został odsłonięty w 1930 roku w 100. rocznicę Powstania Listopadowego, Rada Miasta Limanowa, 26 marca 2013 r. podjęła*

uchwałę, wskazując lokalizację owego monumentu w centrum nowo powstałego ronda przy zbiegu ulic: Matki Bożkiej Bolesnej, Targowej i Moniuszki. Przyjęcie uchwały dowodzi, że stajemy się społecznością obywatelską, a rozstrzygnięcie tej sprawy przez rajców miasta skłania do poglądu, że wsłuchali się oni w głos większości limanowian, którzy życzyli sobie powrotu pomnika na jego dawne miejsce (...)

Wówczas okazało się, że wyrażony optymizm był przedwczesny, ponieważ proceduralne kwestie odsuwały podjęcie decyzji w czasie. Ostatecznie zwyciężyła rozważa i szacunek dla tradycji i wartości, gdyż decydenci uznali za słuszne umiejscowienie pomnika na rondzie.

Tak więc pomnik bliski limanowskiej społeczności powróci na historyczne miejsce. Nim to nastąpi musi jeszcze minąć trochę czasu.

Po pozytywnej opinii Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków w Krakowie, Delegatura w Nowym Sączu w którym napisano iż: *Urząd ten nie wnosi uwag do lokalizacji pomnika na tarczy ronda Niepodległości oraz odtworzenia ogrodzenia zgodnie z projektem budowlanym opracowanym przez inż. arch. Leszka Piławskiego.*

Na wniosek Marka Urbańskiego dyrektora Powiatowego Zarządu Dróg w Limanowej 14 października 2013 r. zostało zwołane spotkanie konsultacyjne w tej sprawie. W spotkaniu uczestniczyli: Irena Grosicka, przewodnicząca Rady Miasta, Marek Czczótka, Związek „Limanowian”, Wacław Zoń, wiceburmistrz Limanowej, Mieczysław Wojtas i Jacek Kurzeja, przedstawiciele Powiatowej Komendy Policji w Limanowej oraz przedstawiciele wydziałów Starostwa Powiatowego: Wioletta Szubryt, dyrektor Komunikacji i Transportu, Elwira Stochel, dyrektor Budownictwa i Architektury, a także Maria Wadowska, kierownik Rejonu Dróg. Kończącym wnioskiem ►

spotkania było wyrażenie pozytywnej opinii posadowienia pomnika „Nieznanego Żołnierza” na tarczy ronda u zbiegu ulic: Matki Boskiej Bolesnej, Targowej i Moniuszki. Zanim jednak to nastąpi, konieczne jest uzyskanie pozwolenia na budowę oraz przedłożenie projektu organizacyjnego ruchu w tym rejonie na czas budowy.

Pozostawiając na uboczu na razie dalszą polemikę związaną z takim stanem rzeczy, póki co prezentujemy Czytelnikom naszego dwumiesięcznika projekt: **Usytuowania Pomnika na Rondzie Niepodległości w Limanowej**. Projekt opracował arch. Leszek Pilawski na zlecenie burmistrza miasta Limanowa, który zatwierdzony został 25 września 2013 r. przez kierownika delegatury w Nowym Sączu Woj. Urzędu Ochrony Zabytków w Krakowie. Przedstawiamy również rozmowę z projektantem tego rozwiązania, a do tematu będziemy w kolejnych wydaniach „Echa” powracać.

Rozmowa z inż. arch. Leszkiem Pilawskim

- Tradycja i historyczny obiektywizm nakazywał, aby pomnik „Nieznanego Żołnierza” postawiony przez naszych dziadów i ojców w 1930 roku powrócił na swoje pierwotne historyczne miejsce. Ta główna racja, prezentowana przez „grupę inicjatywną” była przewodnią myślą kierowaną do burmistrza Limanowej z wnioskiem o podjęcie decyzji realizacji tego przedsięwzięcia.

Nie biorąc tych faktów pod uwagę jako architekt, proszę powiedzieć, jak wkomponuje się usytuowanie monumentu na tarczy ronda w nową powstałą przestrzeń urbanistyczną w tym historycznym miejscu.

- Ustawienie w pierwotnym miejscu pomnika na tarczy dopiero co powstałego ronda przebudowanego ciągu komunikacyjnego, wypełni i zorganizuje obszerną wolną powstałą przestrzeń w tym rejonie miasta. Równocześnie rozbija pustą monotonię na powstałym rondzie, a więc wprowadzi tam ład i harmonię przestrzenną. Ponadto umiejscowienie na rondzie pomnika wyznaczy dwie osie o znaczeniu dominującym dla naszego miasta. Pierwsza oś wschód - zachód będzie historycznym odtworzeniem urbanistycznym i wyznaczy kierunek, kościół pomnik

Konstytucji 3 Maja – kaplica Łaski w Mordarce. Drugą zaś oś północ - południe, prostopadła do pierwszej wyznaczy nowy kierunek, pomnik – jubileuszowy Krzyż na Miejskiej Górze wkomponowany w panoramę Pasma Łososińskiego. Będzie to układ niepowtarzalny i jedyny taki w Limanowej.

- Kiedy zlecono panu realizację wykonania tego projektu, „grupa inicjatywna” nie kryła zadowolenia, ponieważ znane nam były pańskie poglądy na temat wartości, jakie niesie w sobie sam pomnik i jego miejsce usytuowania. Proszę przybliżyć Czytelnikom własne stanowisko w tej sprawie.

- Powrót pomnika „Nieznanego Żołnierza” na nowo powstałe rondo jest historyczną koniecznością. Uważam, iż zostanie uszanowana wola naszych dziadów i ojców. Ustawienie tego monumentu w miejscu ogólnie dostępnym może pobudzić do refleksji i wspomnień historycznych. Duże walory będzie miało także estetyczne uporządkowanie i zagospodarowanie tej części miasta, gdzie przeszłość łączy się z teraźniejszością. To jeden z niewielu zakątków Limanowej o takim znaczeniu.

- Zostało panu zlecone przez burmistrza miasta wykonanie projektu usytuowania pomnika na Rondzie Niepodległości. Proszę Czytelnikom „Echa” przybliżyć ten projekt i powiedzieć jak mają się współczesne założenia (pana koncepcja), całościowego zagospodarowania tej przestrzeni w odniesieniu do pierwotnego historycznego rozwiązania.

- Pierwotne dawne miejsce pomnika na trójkątnym placu u zbiegu ówczesnych ulic: Orkana i Targowej sprawiało, że pomnik był otoczony ogrodzeniem na rzucie trójkątnym. Obecnie usytuowanie monumentu na rondzie w sposób naturalny narzuciło projektantowi ukształtowanie rzutu ogrodzenia na okręgu.

Pomnik „Nieznanego Żołnierza” będzie ustawiony na środku Ronda Niepodległości. Ogrodzenie odtworzone na wzór pierwotnego będzie miało kształt okrągły, ze słupkami wykonanymi z monolitycznego piaskowca, na murku wykonanym również z kamienia. Kamienne słupki pozostaną połączone metalowymi przesłami. W jednym z segmentów umieści się – bramkę, wprowadzającą na plac, w obrębie którego ulokowany zostanie pomnik. Rondo wybudowane jest na terenie lekko pochylonym

w kierunku północnym, dlatego z tej strony pod ogrodzeniem utworzona zostanie mała skarpa pokryta trawą, którą przy samym ogrodzeniu otoczy się pasem kolorowych niskich kwiatów. Wstęga z kwiatami będzie ułożona wokół całego ogrodzenia. Istniejący pas kostki wokół ronda jest w kolorze szarym. Placyk wewnątrz ogrodzenia będzie ułożony kostką w tym samym kolorze.

Nowo wprowadzonym elementem są dwa znicze o kształtach owalnych wykonane z metalu, ustawione po obu stronach pomnika wzdłuż osi bazylika – kaplica Łaski.

Aby przełamać monotonię szarości kamienia pomiędzy okręgiem z kostki granitowej, a ogrodzeniem będzie pas zieleni porośnięty trawą. Dojście do pomnika przed ogrodzeniem będzie ułożone również z szarej kostki granitowej. Ten chodniczek spełni rolę ścieżki, którą podążać będą do monumentu delegacje w czasie uroczystości patriotycznych, oddając hołd poległym za Ojczyznę. Pas ten i usytuowanie pomnika wyznacza oś w kierunku Krzyża Milenijnego na Miejskiej Górze. Wszystkie nawierzchnie ułożone kostką zostaną ograniczone betonowymi obrzeżami chodnikowymi. Zarówno przeszła ogrodzenia, bramka oraz znicze będą w kolorze czarnym. Całość zostanie podświetlona zestawem reflektorów. Na skwerku od strony „pałacyku Pod Pszczółką” ustawiona zostanie tablica z opisem historii pomnika.

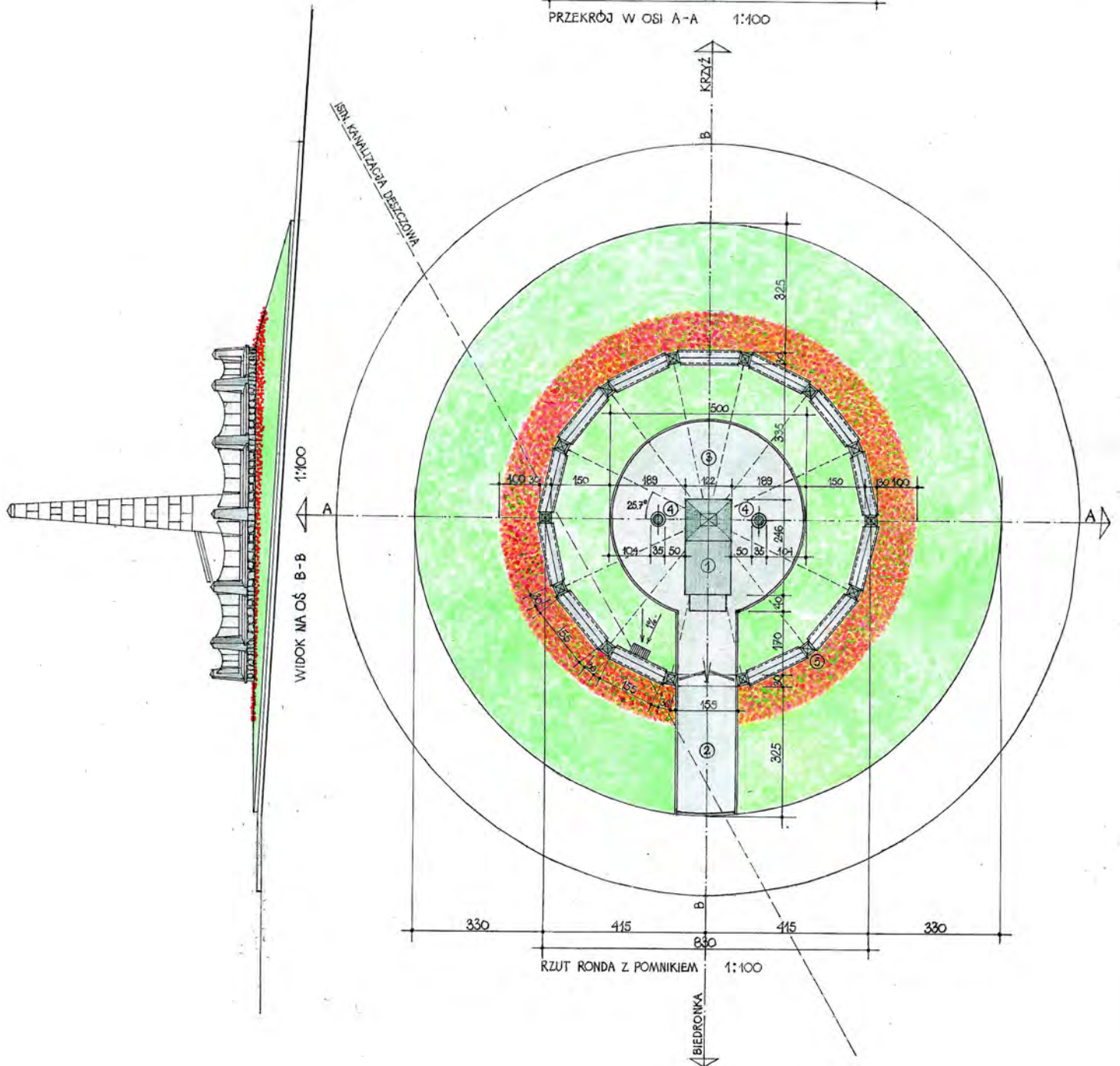
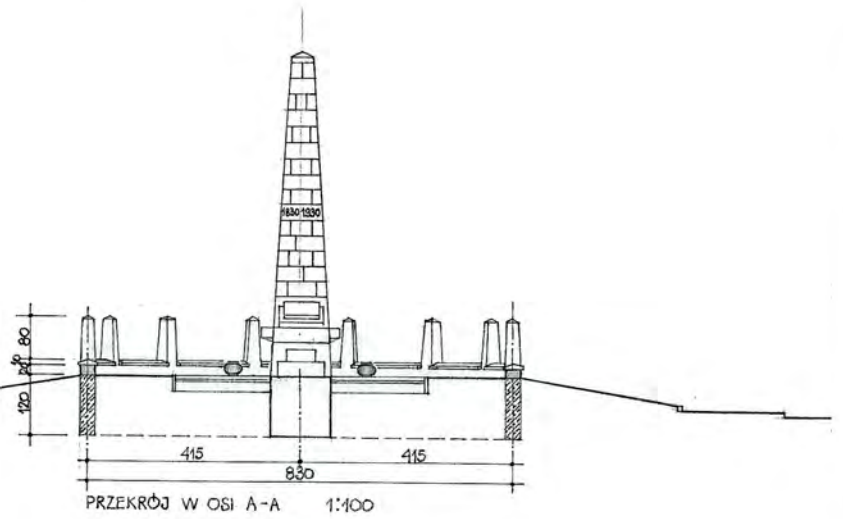
- Znając pana wrażliwość, potwierdzoną wieloma interesującymi projektami m. in. projektem Jubileuszowego Krzyża na Miejskiej Górze, co powiedziałby pan tym mieszkańcom miasta, którzy są przeciwni powrotowi pomnika w miejsce historyczne, chyba jedyne w Limanowej, gdzie można powiązać współczesność z przeszłością dla dobra chociażby promocji naszego miasta?

- Układ urbanistyczny naszego miasta nie pozwala na usytuowanie tego rodzaju pomnika w innym miejscu. Jego ranga historyczna – patriotyczna byłaby przez to umniejszona. Zostałby on oddzielony z codziennego kontaktu zarówno dla mieszkańców jak i turystów przebywających w Limanowej. Stałby się odosobnionym monumentem, o którym się przypomina z racji obchodzonych świąt narodowych. Powtórzmy więc, wybór usytuowania pomnika u zbiegu ulic: Matki Boskiej Bolesnej, Targowej i Moniuszki stwarza możliwości zarówno promocyjne dla miasta jak również edukacyjno-historyczne.

Rozmawiał: Stanisław Ociepka

ŚREDNICA W OSI OGRODZENIA 8.3 m
 PROMIĘŃ W OSI OGRODZENIA 4.15 m
 OBIWÓD W OSI OGRODZENIA 26.0 m
 PRZEKRÓJ SŁUPKÓW U PODSTAWY 30x30 cm
 WYSOKOŚĆ OGRODZENIA 1.1 m
 POWIERZCHNIA WEWNĄTRZ OGRODZ. 50.2 m²
 POWIERZCHNIA UTWARDZONA 24.2 m²

1. ZREKONSTRUOWANY POMNIK
2. PROJ. DOJŚCIE. SZARA KOSTKA GRANITOWA
3. PROJ. OKRĄG Z KOSTKI GRANITOWEJ SZAREJ
4. PROJ. ZNICZE
5. SŁUPY OGRODZENIA. MONOLIT Z PIASKOWCA



TEMAT	PROJEKT USYTUOWANIA POMNIKA NA RONDZIE NIEPODLEGŁOŚCI		
ADRES BUDOWY	DZIAŁKA EW. NR 466 OBR. 5 W LIMANOWEJ		
RYŚUNEK	RZUT POZIOMY, PRZEKRÓJ A-A, WIDOK NA OŚ B-B	SKALA 1:100	RYŚ
PROJEKTANT	MGR INŻ. ARCH. LESZEK PIŁAWSKI	IX. 2013	2



Fot. 1

WIELKI KAUKAZ PO RAZ DRUGI

(dokończenie ze strony 25)

Okolo 8⁰⁰ razem z Markiem B. dochodzimy do wniosku: decyzja nie jest łatwa, ale wciąż należy do nas - zawracamy. Wspaniała góra Kazbek (5047 m n.p.m.) pozostaje niezdojta. Przy niesprzyjającej pogodzie, aklimatyzacja zdobyta podczas trekkingu Szatili - Omalo nie wystarczyła do wejścia na szczyt. Następnie wszystko toczy się już szybko. Wciąż jeszcze silni, zaczynamy schodzić. Niebawem spotykamy grupę, którą mineliśmy wcześniej. Widząc nas zdecydowanych na kontynuowanie wspinaczki, postanowili czekać na poprawę pogody. Teraz także decydują o odwrocie. Po pokonaniu lodowca dołącza do nas Ewa i wędrujemy do bazy. Po krótkim odpoczynku zapada decyzja - schodzimy do Stepancminda. Po długiej wędrówce przez lodowiec i wzdłuż doliny potoku Chkheri oraz przez mniejsze wzniesienia dochodzimy do wzgórza, na którym stoi majestatyczny klasztor Cminda Sameba. Samochody czekają tam, gdzie je pozostawiliśmy. Po zwiedzeniu świątyni - symbolu Gruzji jedziemy do hotelu.

Przez oczekującą na nas część ekipy zostajemy powitani entuzjastycznie. Oczywiście, nie jako zdobywcy Kazbeku, ale dający szansę na wyruszenie na niziny o jeden dzień wcześniej. Dalszy plan wyprawy, na piątek i sobotę, jest już gotowy: trzeba ten jeden „odzyskany” dzień wykorzystać na zobaczenie miasta Gori, w którym duch J. Stalina jest wiecznie żywy, a poświęcone mu muzeum jest najokazalszą budowlą w mieście. Wracamy Gruzińską Drogą Wojenną, zatrzymując się przy położonej nad rzeką Aragwi, pochodząca z przełomu XVI i XVII wieku, twierdzą Ananuri. Zaledwie 10 km na wschód od miasta Gori zwiedzamy najstarsze miasto skalne w Gruzji: Upliscyche - czyli „Pańską Twierdzę”. W drodze do Tbilisi zatrzymujemy się także w Mccheta i zwiedzamy jedno z najstarszych miast Gruzji, starożytną stolicę (od III w. p.n.e. do V w. n.e.), z jej najważniejszymi zabytkami budownictwa sakralnego.

W niedzielny poranek, 14 lipca, wracamy do Polski, uszczęśliwieni wędrówką po Wielkim Kaukazie i zwiedzaniem wspaniałych, choć często zniszczonych zabytków wielowiekowej kultury oraz ze świadomością, że nie pokonaliśmy Kazbeku, ale i on nas nie pokonał. Gdy kończę artykuł, trwa dramatyczna akcja ratownicza i poszukiwawcza trójki Polaków, zdobywców Kazbeku, którzy prawdopodobnie 22 września na wysokości ponad 4 tys. metrów stracili orientację. Góra zabrała kolejne ofiary.

Andrzej KULIG

**Fotografie ze zbioru A. Kuliga
wrzesień 2013 r.**



Fot. 2

¹ Kulig A. (2013): Upalne lato w śniegu i lodzie.... „EL” Nr 220-221. Rok XXI styczeń-luty, s. 30-43.

² Wysocki W. (1966): Pożegnanie z górami. Tekst piosenki. Tłumaczenie, Zimna M. 1994.

³ Petryszak G. (2013): Gruzja w pigułce. Przewodnik. Wyd. 1. Oficyna Wydawnicza Revasz. Pruszków.

⁴ Kamiński K., Iskrzycka K., Stefaniuk P. (2009): Gruzja i Armenia oraz Azerbejdżan. Magiczne Zakaukazie. Przewodnik Wydawnictwa Bezdroża. Wyd. III. Kraków.



Fot. 3



Fot. 4



Fot. 5



Fot. 6



Fot. 7

Opis fotografii:

Fot. 1. Przez ogromny zielony Kaukaz do Szatili.

Fot. 2. Spektakularnie położone „orle gniazdo” – kamienna warownia w Mutco.

Fot. 3. „Pańska Twierdza” - jedna z najstarszych osad miejskich w Gruzji z cerkwią w części górnej.

Fot. 4. Niekiedy udawało się pokonać polodowcowy potok suchą stopą.

Fot. 5. Na lodowcu Gergeti – w drodze do bazy pod Kazbekiem.

Fot. 6. Górskie zbocza pokryte kwitnącymi różanecznikami kaukaskimi – przed przełęczą Atsunta.

Fot. 7. Wędrowcy gotowi do trekkingu Szatili - Omalo. Od lewej: Ewa, Jacek, Jurek K. i Jurek W., Agnieszka i Marek B. oraz autor.

www.szubryt.pl



Szubryt®
ZAKŁADY MIĘSNE

ul. Węgrzynek 50, 33-395 Chełmiec
tel. 18 443 05 60, 18 440 47 88

Wiedza w praktyce



Marcin Wrona (siódmy od lewej) z laureatami Międzynarodowej Olimpiady w Grecji.

- *Jaki wkład w ten sukces miał Pan Profesor Widomski?*

- Pan Widomski jest fizykiem, nie astronomem, jednak olimpiada nie była tylko z astronomii, ale także z astrofizyki, dlatego chciałbym bardzo podziękować Panu Profesorowi za całe moje przygotowanie z fizyki i wsparcie duchowe, bo to też wiele pomaga.

- *W Grecji poznałeś zapewne wielu ciekawych ludzi. Jacy są specjaliści od astronomii? Czy wszyscy mają takie podejście do życia jak Ty, czy zdarzają się wśród nich stereotypowe „kujony”?*

- Takimi stereotypowymi kujonami to bym nazwał Azjatów, ale oni po prostu tacy są, taki mają system nauki. Inni natomiast zdecydowanie mają podejście do życia podobne do mojego. Ja sam może duszą towarzystwa nie jestem, ale większość z poznanych tam osób zdecydowanie wzbudziła moją sympatię, szczególnie koledy z Cypru, koleżanki z Nowej Zelandii, czy super-kumpel z Malezji, którego nauczyłem trochę mowy polskiej. Bardzo szybko też potrafiliśmy się zintegrować, przede wszystkim dzięki wspólnym zainteresowaniom, niekoniecznie związanych z astronomią.

- *Jaki kierunek studiów wybrałeś?*

- Fizykę indywidualną na UW. Bardzo

bym chciał po skończonych studiach zrobić doktorat, bo bez niego ciężko mi będzie w dalszym życiu.

- *Skąd się wzięło Twoje zainteresowanie astronomią?*

Ciężko wskazać moment, od którego się to wszystko zaczęło. Odkąd pamiętam, interesowałem się Wszechświatem i wszystkim, co z nim związane. Jednak teraz astronomia pozostaje tylko jako hobby, moją pasją będzie fizyka.

- *Co możesz poradzić uczniom, którzy zamierzają coś osiągnąć w różnych olimpiadach przedmiotowych?*

- Po pierwsze – trzeba mieć na uwadze, że jest to OLIMPIADA, a więc startują w niej najlepsi, a nie ma większej motywacji niż pokazanie, że jest się lepszym od nich. Po drugie – chcąc coś osiągnąć w olimpiadzie, trzeba ją potraktować poważnie, przygotowanie do niej wymaga wyrzeczeń, bo zwykła wiedza szkolna nie wystarcza (choć zakres materiału na olimpiadach nie przekracza tego szkolnego). Z doświadczenia mogę powiedzieć, że najważniejsze w przygotowaniu jest robienie zadań. Możecie przeczytać milion książek, oglądać milion filmów, wysłuchać miliona wykładów, ale to i tak na nic się nie zda, jeżeli nie będziecie uczyć się wykorzystywać wiedzy w praktyce.

- *Jakie są Twoje zainteresowania, poza oczywiście fizyką i astronomią?*

- Bardzo lubię sztuki walk, szczególnie Karate Kyokushin, przez całą klasę maturalną (wyluczając kwiecień) ćwiczyłem codziennie (to też trochę czasu zajmowało, prawie całe wieczory). Wiem, że w tym czasie mógłbym robić inne rzeczy, ale wtedy zrobiłbym fatalny błąd, bo z treningu na trening czułem się coraz lepiej. Innym zainteresowaniem jest parkour (którego w Limanowej za bardzo nie dało się uprawiać) i freerun [sport ekstremalny, który polega na wykonywaniu efektywnych i trudnych tricków w czasie pokonywania przeszkód na trasie biegu – red]. Myślę, że każdemu w życiu przyda się trochę adrenaliny.

**Rozmawiał: Kamil Bujak
uczeń I LO w Limanowej
Fotografie: arch. Marcina Wrony**



Irena Grosicka, przewodnicząca Rady Miasta, w czasie sesji Rady składa gratulacje Marciniowi Wronie.

WOŁYŃ 1943-2013

Ewa Koper

Obowiązkowa podróż na Wschód!



Masowa mogiła we wsi Huta Stepańska. Po lewej stronie napis: *Upamiętnienie nastąpiło staraniem rodziny Horoszkiewiczów i miejscowych Ukraińców pod przewodnictwem p. W.P. Krota - 2009 r.*

W tym roku przypadła 70-ta rocznica ludobójstwa Polaków na Wołyniu dokonanego przez Ukraińską Powstańczą Armię, będącą formacją zbrojną Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Głównym dniem uczczenia Rodaków stał się 11 lipca – dzień historycznie naznaczony jednoczesnym atakiem i mordem w blisko 100 miejscowościach. Ten rok nie zamknie jednak okrągłej 70-tej rocznicy. Zbrodnicze napady kontynuowano także w 1944 roku i objęły również tereny m.in. Galicji Wschodniej i Zamojszczyzny.

W społeczeństwie pamięć historyczna o tym wydarzeniu jest zatrważająco niska. Nie da się tego smutnego faktu wytłumaczyć jedynie brakiem w szkołach właściwego nauczania historii, mimo że jest to bardzo ważny argument.

Mając na uwadze dobro wspólne i kształtowanie właściwego obrazu wydarzeń wojennych i szerzej całych dziejów Polski, winniśmy bez względu na

wiek czy zawód systematycznie pogłębiać wiedzę oraz dbać o jej przekaz choćby tylko na szczeblu rodzinnym. Nazbyt często zasłaniamy się brakiem czasu czy zainteresowania historią, a w przypadku zaś samego okresu II wojny światowej wszechobecnym okrucieństwem i cierpieniem ofiar. Ale czy rzeczywiście to takie trudne poświęcić kilka godzin w ciągu roku na własną edukację? Nieustannie oburzamy się, kiedy dochodzą zwłaszcza z mediów zachodnich krzywdzące opinie o postawach Polaków w czasie II wojny światowej. Musimy jednak mieć głęboko w świadomości, że ludzie na Zachodzie czy za Oceanem nie wiedzą nic, albo mają wypaczoną wiedzę również przez naszą beczynność? My sami nie dbamy o własną historię i niewiele robimy, by sytuację odwrócić! Najprościej jest unikać i nie zadawać sobie tego rodzaju trudu. Skąd ludzie za granicą czy młode pokolenia w naszym kraju mają

wiedzieć o różnorodnych losach Polaków - uzależnionych od okupacji, pod którą przyszło im żyć, polityki okupacyjnej względem zamieszkiwanego regionu czy od przynależności do określonej klasy społecznej? Nie ma też szerokiej wiedzy o polityce okupantów wobec poszczególnych mniejszości narodowych, które zamieszkiwały II RP! Ciągłe nie rozumiemy, że przypominanie ważnych wydarzeń i pamięć o wszystkich Ofiarach to ochrona nas samych i zabezpieczanie losu następnych pokoleń!

Polacy, którzy zginęli z rąk UPA-OUN, bardzo długo czekali na powrót do narodowej pamięci. Ogromna, wciąż nie do końca ustalona liczba ofiar przeraża – ponad 100 tysięcy ludzi! Zwykli mieszkańcy Wołynia, przede wszystkim polscy chłopcy w makabrycznie potworne sposoby pozbawiani życia, dodatkowo zostali skazani na zapomnienie przez ogół rodaków! Nie da się niczym usprawie-

dliwić zbrodni, tak jak i próby wymazania faktu zaistniałych wydarzeń! Ofiary potrzebują tak niewiele – tylko PAMIĘCI. Różne dyskusje toczące się wokół tego tematu nasuwają jednoznaczne skojarzenie – lepiej tego nie ruszać, to jeszcze za wcześnie, to zbyt boli – ale kogo? Przecież Rodziny Kresowe mimo traumatycznych przeżyć chcą mówić i chcą upamiętnić miejsca zbrodni oraz zbiorowych pochówków. Znanych jest ponad 4000 miejscowości, gdzie doszło do mordów na Polakach, ale konieczne są dalsze badania, bo mogą być dalej nieodnotowane przysiółki czy małe kolonie, z których nikt nie ocalał.

Każdy wyjazd na Wschód uczy i jasno pokazuje, że przede wszystkim zwykli ludzie z obu krajów muszą na swoich barkach nosić potrzebę dialogu, pojednania i czynu budowy upamiętnień. W czasie obchodów rzezi na Wołyniu jedynym człowiekiem, który otwarcie powiedział o tym, co wydarzyło się w 1943 roku, nazwał sprawców po imieniu, uhonorował z nazwiska Sprawiedliwych Ukraińców oraz mówił o Żydach – wcześniej pomordowanych sąsiadach - był tak zwany ZWYCZAJNY CZŁOWIEK, obecnie mieszkający w Polsce, a rodzinnie związany z Wołyniem. Jego przemówienie było źródłem do rozlicznych rozmyślań i refleksji, a także obaw. Zastanawiano się czy ten człowiek wie co zrobił, mówiąc to wszystko tak otwarcie? Czy dalej będzie mógł budować pomniki i stawiać krzyże? Odpowiedź jest jedna - przez lata wysiłków znalazł do współpracy i przełamywa-



Pamiętkowa tablica na cmentarzu w Porycku.

nia wzajemnych barier miejscowych ludzi, którzy realnie chcą zmienić otaczającą rzeczywistość.

Niewątpliwie ważnym krokiem ku wzajemnemu pojednaniu jest odnajdywanie i oznaczanie miejsc tragedii, ale smutek wywołuje brak tablic czy niewłaściwe teksty na pomnikach.

Na kilku obejrzanych wołyńskich pomnikach nie ma słowa „zamordowanych” tylko „zginęli”, „polegli” albo „Pamięci Ofiar” (nie wiadomo jakich sprawców). W jednej z miejscowości przy pomniku, gdzie wypisano tylko dane personalne ofiar, dwie Ukrainki z małym dzieckiem rozma-

wiały o sprawcach – zastanawiając się kim byli mordercy, którzy nawet nie oszczędzali dzieci! Nie ma takiej informacji, więc one i inni w ten sposób stają się łatwym celem do manipulacji politycznych i historycznych. Wiele osób dalej będzie żyło w fałszywym przeświadczeniu, że był polski faszizm czy polscy koloniści.

Merytoryczna dyskusja i programy edukacyjne mogą przynieść więcej korzyści aniżeli poprawność polityczna nakazująca robić i mówić dziwne rzeczy w imię złe pojętych „dobrych relacji”. To prawda, że np. było dużo osadników w okresie międzywojennym, ale prawie w 100% zostali wywiezieni w głąb ZSRR przez Sowietów w 1940 i 1941 roku, a pozostali ci, którzy mieszkali tam od pokoleń! Wszystkie argumenty wytaczane przez zwolenników UPA są bardzo łatwe do obalenia! Dokonali ludobójstwa za pomocą szczególnie okrutnych metod i miejmy nadzieję, że to niedługo zostanie oficjalnie w ten sposób nazwane!

Wyjeżdżając na Wołyń, czy odwiedzając inne miejsca naznaczone cierpieniem i krwią miejmy zawsze w świadomości, że pomordowani chcieliby, a ich bliscy chcą - by te miejsca odwiedzać. Tylko ci, którzy stoją za winą popełnianych zbrodni woleliby, by strach i przerażenie zdominowały naturalną chęć odkrywania faktów i miejsc zbrodni. Prawdy trzeba szukać i nad cierpieniem się pochylać – niby banalne, a takie trudne...

Fotografie: Ewa Koper



Pomnik na miejscu nieistniejącej polskiej wsi na Wołyniu z oznaczonym miejscem nieistniejącego kościoła.



Nagrobek upamiętniający pomordowane dzieci z Ostrowek i Woli Ostrowieckiej w dniu 30. 08. 1943 r.

Bóg zaspokaja nasze potrzeby

Majerski na plenerowym szlaku

Jolanta Bugajska

Emerytura to czas wytchnienia? W przypadku Aleksandra Majerskiego, emerytowanego nauczyciela ZSTiO w Limanowej, z pewnością nie można powiedzieć, że przeszedł na zasłużony odpoczynek. Kto śledzi wpisy Alka na Facebooku, pewnie już się gubi, bo ten limanowski twórca jest w ciągłym ruchu. Wystawa grupy Złota Linia w wiśnickim zamku, w Krakowie, w Radzynie Podlaskim, dwór Paderewskiego w Kaśnej Dolnej, plener w Warblewie, plener w Kolbuszowej i wreszcie Ukraina.

Tylko w tym roku „zaliczył” cztery plenery artystyczne. Najpierw trzynastodniowy plener w dworze Paderewskiego w Kaśnej Dolnej, gdzie wykorzystał lipę przewróconą przez wichurę, spróchniałą w środku, na ażurowy posąg.

Zaraz potem pojechał na plener do Warblewa koło Koszalina, gdzie zaprosił także znajomych artystów z Ukrainy i Niemiec. Towarzyszyła mu wnuczka Karolina, która chłonęła artystycznego du-

cha, również kreując twórczo. Sam zоставił na miejscu 3,5 metrową rzeźbę.

Kolejny artystyczny plener miał miejsce w Kolbuszowej. Tu nie tylko pracował artystycznie nad swoim dziełem, ale też uczył dzieci.

– To była fantastyczna przygoda, bo na plener przychodzi grupa 40 okolicznych dzieciaków, które z entuzjazmem podglądają pracę poszczególnych twórców. Podczas pracy z dziećmi wraz z

*Na wołyńskiej ziemi
Za błędy historii
Ludzkimi rękami
Krwią splamione
Módl się Matko
Najświętsza
Otwórz serca
Na miłość
Która świat odmienia*

Aleksander Majerski



Stoją od lewej: ks. Jan Buras, Aleksander Majerski, prof. Roman Wasylyk, generalna konsul RP w Łucku Beata Brzywczy, szef Związku Artystów.



Aleksander Majerski przy Madonnie na Wołyniu.

*Czas ukraińskiej nocy
Świerszczami wypełnia ciszę
Na niebie księżyc duma
A ktoś ikonę pisze...*

Aleksander Majerski



Aleksander Majerski przy pracy.

ukraińską Artystką Valeriją Moskvitiną realizowaliśmy temat : „Świat fantazji w kolbuszowskim Skansenie” - chodziło nam o ludowe akcenty przy ozdabianiu domów i okien, o projekty kwiatów, ptaków, zwierząt itp. Podsumowaniem tej akcji była sesja fotograficzna prac w Skansenie, umieszczanych w różnych miejscach pasujących do tematu! Była to fantastyczna i inspirująca przygoda dla dzieciaków i dla nas.... – wspomina.

Na miejscu został powstawał w czasie pleneru rzeźbę „Fantazja w stronę gwiazd”.

Potem miał jeden dzień na przepakowanie i ruszył na kolejną artystyczną przygodę, tym razem na Ukrainę do Integracyjnego Centrum Zamłynia u ks. Jana Burasa, 15 km od miasta Luboml na Wołyniu. Tu uczestniczył w Międzynarodowym Plenrze Ikonopisów pod kierunkiem profesora Romana Wasyłyka z Lwowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Sam oczywiście ikon nie pisał, robili to studenci profesora, ale rzeźbił figurę Maryję w ponad trzymetrowej topoli. Podpatrywał też młodzież, która w niezwyklej ciszy i skupieniu potrafiła mozolnie pracować, pisząc swoje ikony cieniutkimi pędzelkami kreseczka po kreseczce.

- Ten plener był wyjątkowy. Niesamowity i niepowtarzalny pod względem duchowym. Taki z pogranicza sacrum i profanum, z głębokim wejściem do własnego wnętrza, z refleksją nad sensem tworzenia. Ten plener stał się jednym z najważniejszych w moim życiu. Uczestniczyłem w wielu Międzynarodowych Plenrach w Polsce, Niemczech i Czechach, ale takiego duchowego wsparcia nigdzie nie było. Nie chodzi tylko o codzienne msze, co wynika z istoty „pisanie ikon”, ale przede wszystkim o wspaniałych ludzi Wschodu. Bogactwo, nie to materialne ale duchowe, otwiera granice przyjaźni i zrozumienia! – mówi.

Każdy dzień rozpoczynał się od mszy, sprawowanej naprzemiennie po polsku i ukraińsku. A później zaczynało się tworzenie, traktowane z niezwykłą powagą. Efektem jest figura, która stała w mistycznym miejscu, otoczona siedmioma drzewami. Ale efektem jest także próba syntezy ikonografii z rzeźbą i grafiką. Symbolika znana z ikonografii i motywy charakterystyczne dla tej sztuki pojawiają się w najnowszych pracach Majerskiego.

Jest też coś niezwykłego w tym pobycie na Wołyniu. Niegdyś, wspominając dzieje swoich przodków, zamarzył, by móc stanąć na wołyńskiej ziemi i zostawić tam materialny ślad.



Dwór Ignacego Paderewskiego w Kaśnej Dolnej.



Plenerowy ażurowy posąg w parku dworu Paderewskiego.

- Kiedyś będąc w Niemczech, gdy rzeźbiłem w ekumenicznej „Drodze życia” kanadyjskie jodły, tak sobie zamarzyłem o Ukrainie, aby tam zostawić jakiś ślad... Szybciej niż się spodziewałem, nagle stało się to moim udziałem. Akcyjowy „Chrystus Frasobliwy” u ujścia Dniepru do Morza Czarnego, a teraz Madonna na Wołyniu! Howard Dayton pisał: „Bóg jest całkowicie przewidywalny w zaspokajaniu naszych potrzeb. Nie możemy jednak przewidzieć, w jaki sposób Bóg to uczyni”...

W tym wypadku tak właśnie było. Dzięki internetowi i przynależności do grupy artystycznej Złota Linia poznawał kolejnych twórców i miłośników sztuk plastycznych, a te kontakty doprowadziły go na wymarzoną Ukrainę. O czym teraz zamarzy? Gdzie pokieruje swe artystyczne kroki? Gdziekolwiek to będzie, z pewnością twórczo nie spocznie.

– Bo ja już tak mam, zaczynam od małej kreski, ręka sama rysuje szkic i samo się tworzy – mówi.

Fotografie: arch. Aleksandra Majerskiego

Nieco refleksji i uwag po cyklu

Nieco refleksji i uwag po lekturze zakończonego cyklu reportaży dotyczących dziejów rodziny Marsów oraz historii starowiejskiego dworu w Limanowej prezentuje Stanisław Jacek Kołodziejczyk, znany Czytelnikom „Echa” z artykułów odnoszących się do dworu w Mordarce.

Autor tych przemyśleń, wielki miłośnik Krakowa związany statutowo od 40 lat z Towarzystwem Miłośników Historii i Zabytków Krakowa był społeczny konserwator zabytków Krakowa, przewodnik krakowski, z Limanową powiązany jest przez rodzinę Bochenków. Jego wuj chrzestny, inż. Władysław Bochenek, ożenił się z jedną z córek dziedziczki majątku Mordarka.



Stanisław Jacek Kołodziejczyk przed dworem Marsów w Limanowej.

Być może się mylę, bowiem czytam i zbieram kolejne numery „Echa Limanowskiego” zaledwie od pięciu lat. Jednakże zestawienie w jedną całość artykułów Pana Profesora Andrzeja Kuliga publikowanych sukcesywnie od 2012 roku w „EL” pod tytułem: *Z dziejów Historii Starowiejskiego Dworu i Limanowskiego Ogrodu, jako cyklu* (część I okres przedwojenny – dzieje rodziny Marsów, część II okres przedwojenny – opis majątku rodziny Marsów, część III – okres powojenny) sprawia wrażenie pełnej tematycznie monografii. Zwłaszcza, że w kolejne, znakomicie i źródłowo opracowane przez Autora odcinki cyklu, nasz nieoceniony Redaktor Stanisław Ociepka wplata świetnie komponujące się uzupełnienia – przyczynki. Są to Piotra Szymona Łosia, *O potrzebie zakorzenienia w regionie* („EL” nr 222-223/2013), tegoż glosa (wspomnienie) w („EL” nr 224-225/2013) oraz Antoniego Mamaka *Interesujący szczegół* (tamże).

Ale na koniec. Tak naprawdę, moje uwagi, przemyślenia i osobiste refleksje narodziły się z serdecznego poruszenia, po lekturze szczególnego dopełnienia całości tematu. Oto, w najnowszym powakacyjnym numerze dwumiesięcznika („EL” nr 228-229/2013) znajdujemy piękną i szczególnie ważną wypowiedź. Jest nią artykuł Pani Doktor Krystyny Mars-Gawlikowskiej, pod znamienym tytułem *Losy rodziny Marsów z Limanowej po 1944 roku*. Nestorka rodu, w prostej linii ostatnia Potomkini limanowskich Marsów, opowiada o swoich przodkach, dramatycznych tuż powojennych losach swoich bliskich

(o osobistych zdaje się wzmiankować jak najmniej). Czyni tą opowieść zdaniem oszczędny, w sposób zdystansowany od przejmujących realiów, bez szczególnych emocji, choć świadoma jest krzywd oraz rozmiarów wielu lat wykluczenia – tak osobistego, jak i społecznego Jej Rodziny. A wszystko co zapamiętała po 1944 roku, działa się pod obłudnymi bolszewickimi hasłami, iż właśnie spełnia się „akt dziejowej sprawiedliwości”. Autorka nie uskarża się. Przeciwnie, przyjmuje los własny i Jej bliskich z godnością. Wszak: NOBLESSE OBLIGE! (szlachectwo zobowiązuje). To charakterystyczna postawa nie tylko ówczesnych ziemian i ich potomków, ale i wypędzonych z Kresów, znacznej części zdegradowanej inteligencji i oficerów Rzeczypospolitej, wyzutych z majątków przemysłowców oraz właścicieli warsztatów pracy.

Czytamy tą zdawałoby się beznamietną relację świadka epoki ze ściśniętym sercem. A przecież zakończenie opowieści Pani Doktor niesie ważne przesłanie. Autorka nie ukrywa satysfakcji iż: ... „dwór w Limanowej zachował się, jest odnowiony i służy obywatelom miasta Limanowa oraz turystom odwiedzającym zlokalizowane w nim muzeum”. Jednocześnie, świadoma rozmiarów poniesionych w Polsce strat w dziedzinie kultury i dziedzictwa narodowego – apeluje: ... „pozostała świadomość, że zginęło i nadal ginie to, czego nie pozbawili nas wrogowie i wojna. Chrońmy więc te dobra, które jeszcze pozostały, dla świadomości narodowej historii”.

Skłómy głowy w znaku szacunku wobec Osoby Pani Doktor Krystyny Mars-Gawlikowskiej. Limanowa może i powinna być dumna z tak Szlachetnej Obywatelki!

Po powyższym wstępie, być może winien jestem Czytelnikom niniejszego tekstu choćby małe wyjaśnienie: w oparciu o jakie przesłanki lub kompetencje zabieram głos w przywołanym temacie. Co prawda we wstępie jest wspomniane o mnie, lepiej jednak będzie i samemu coś dopowiedzieć.

Otóż wyniosłem z atmosfery rodzinnego domu, na całe życie, szczególny szacunek i sentyment do naszego ziemiaństwa. Zwłaszcza z okresu Międzywojnia, a to z tego względu, iż Mama moja była w latach 30. ubiegłego wieku żywo związana ze środowiskiem dworów na terenie rozległego powiatu myślenickiego. Jako instruktor Towarzystwa Szkoły Ludowej prowadziła dla Kół Gospodyń Wiejskich kursy oświatowo – higieniczne oraz nowoczesnego gospodarstwa domowego. Działo się to pod auspicjami starostwa. Od Sidziny pod Babią Górą po Krzywaczkę i Głogoczów pod Krakowem, zjeżdżała w swojej pracy wszystkie dwory i plebanie (gdzie kursy miały miejsce), organizując przez pięć lat do połowy 1939 roku cykle szkoleniowe. Z sentymentem wspominała okazywaną jej zawsze życzliwość, pomoc i spontaniczne zaangażowanie w to dzieło inteligencji dworskiej i duchowieństwa.

Z żalem, by nie czynić „hagiografii”, nie wspomnę ważnej roli mego śp. Ojca, o jego kontaktach i współpracy z ziemiaństwem w najtrudniejszych latach okupacji hitlerowskiej. A o własnych kompetencjach w podjętym temacie, niechaj mi będzie wolno zmilczeć – zgodnie z maksymą: *modestia virum decorat* (skromność zdobi męża).

artykułów prof. Andrzeja Kuliga



Dwór Marsów przed 1910 rokiem. Z prawej drewniany kościół rozebrany w 1911 r.

Przejdę więc do uwag i odniesień, które piszącemu nasuwa lektura artykułów prof. Andrzeja Kuliga. Autor nazwał cykl swoich artykułów tryptykiem, co pięknie i nostalgicznie dookreśla całość pracy.

Część I i II – opisująca historię rodziny Marsów, przedrukowały również – nieprzypadkowo – „Wiadomości Ziemiańskie” (nr 52/zima2012 oraz 53/wiosna 2013). Okazało się bowiem, iż w trakcie poszukiwań, autor poznał członków rodziny: Piotra Szymona Łosia prawnuka Kazimierza Marsa oraz Nestorkę rodziny Panią Krystynę z Marsów Gawlikowską. Współpraca i konsultacje z wymienionymi, zaowocowały bogactwem ikonograficznych odkryć. Artykuł napisany z dużym ładunkiem empatii, przynosi także znakomity zestaw ilustracji z archiwum rodziny.

Natomiast mnie, ze względu na zainteresowania krajo-brazowo – konserwatorskie zaciekały, a może i zaintrygowały kolejne części pracy Pana prof. Kuliga: Część II – okres przedwojenny z próbą odtworzenia wyglądu majątku Marsów oraz część III – końcowa, okres powojenny.

Opis majątku zawarty w artykule drugim jest owocem wspólnych dociekań, zarówno Autora jak i członków rodziny Marsów, ale także limanowskich regionalistów pod wodzą Stanisława Ociepki (znakomity opisowy plan majątku Stara Wieś – Limanowa). Przy tej okazji mam nieco żalu, iż zrezygnowano z próby ukazania w postaci szkicu architektoniczno – opisowego rzutów pomieszczeń dworu z domniemanym, pierwotnym rozplanowaniem siedziby. Jako możliwy przykład, wskażę udaną próbę odtworzenia rozplanowania nieistniejącego dworu w Mordarce, którą zawdzięczamy Stanisławowi Ociepcie.

W tej sytuacji niech mi będzie wolno zacytować krótki, syntetyczny opis architektoniczny dworu Marsów autorstwa Piotra Libickiego z jego kolejnego tomu opisanego dworów w Polsce: „Dwory i pałace wiejskie w Małopolsce i na Podkarpaciu” (Oficyna REBIS Poznań 2012, str. 238-239).

Choć korpus budynku powstał najprawdopodobniej z końcem XVIII lub na początku XIX wieku, to dziś trudno dokładnie określić jego pierwotną formę. Kolejne przebudowy i rozbudowy z XIX i XX wieku z inicjatywy rodziny Marsów, a w

przypadku wnętrza powojenne aranżacje nadały mu zupełnie nowy wygląd. Jest to wydłużony parterowy budynek z parterowym skrzydłem po stronie zachodniej i skrzydłem – rozalitem w części środkowej elewacji ogrodowej. Na wszystkich częściach budynku założone zostały dachy lamane. Przed wejściem do dworu, zapewne w okresie międzywojennym dodany został arkadowo – kolumnowy podcień, nad którym znalazła się mocno wysunięta i ujęta falistymi sphywami facjata.

Natomiast część III tryptyku – okres powojenny – nazwałbym „elegią na odejście” dla starowiejskiego gospodarstwa ogrodniczego oraz zespołu podworskiego Marsów. Autor w zakończeniu pracy tak pisze: *Dzisiejszy wygląd majątku Marsów nie przypomina tego sprzed wojny. Nie przypomina także jego zagospodarowania z drugiej połowy XX wieku. Na terenie parku podworskiego jest park miejski, w części zachowany, w części na nowo urządzone. Z parku do ogrodu prowadziła droga gruntowa, częściowo obsadzona krzewami [...]. Obecnie na terenie dawnego ogrodu, bezpośrednio od ul. Józefa Marka, prowadzi asfaltowa ulica Spacerowa. Można także przejść od strony dawnego browaru (obecnie Starostwo Powiatowe) deptakiem przez park, obok budynku Muzeum. Na terenie dawnego ogrodu nie ma już ogrodu. W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku zaprzestano działalności ogrodniczej [...], po kilku latach rozebrano rodzinną „Ogrodnikówkę”.*

Kiedy, nie tak dawno Redaktor Ociepka zaprowadził mnie w sąsiedztwo Muzeum Regionalnego, byłem zaskoczony i początkowo zachwycony istnieniem takiej enklawy zieleni miejskiej, w zdumiewającej bliskości „jednej minuty” spaceru od Rynku. Kolejne, już własne, indywidualne tropy nieco ostudziły pierwszy zachwyt. Otóż zaniepokoiło mnie gęste zadrzewienie w dużej bliskości budynku dworu, wprowadzone od strony dawnego ogrodu, chyba na zasadzie „radosnej twórczości”. Konieczny jest moim zdaniem projekt specjalisty oraz korekta zieleni, bowiem obecne nasadzenia nie tylko utrudniają dostęp światła dziennego do pracowni i pomieszczeń Muzeum, ale przesłaniają architektoniczną bryłę zabytkowego budynku od strony parku. Może to drobiazg w obliczu innych problemów, przed którymi stoi limanowski miejski park, ale jako osoba z zewnątrz dostrzegam inaczej, nieco ostrzej sprawę komponowania architektury ogrodniczo – parkowej.

Wracam do „podzwonnego” w końcowych fragmentach tryptyku Pana prof. Andrzeja Kuliga. Oto moja konkluzja: cieszymy się z ocalonych części tego krajobrazu kulturowego, ale miejmy też świadomość z bezpowrotnych strat, jakie przyniósł miniony wiek dwudziesty. A taki stan, za sprawą swego opisu przekazał Autor. Wszak Pan Profesor jest szczególnie, bo najbliższym świadkiem postępującej degradacji, a w końcu ostatecznej utraty miejsca tożsamości, jakim dla Niego i rodziny pozostawała przez życie „Ogrodnikówka”. Z dawnym gospodarstwem ogrodniczym a równocześnie zaciszem klimatycznym i przyrodniczym, gdzie piękno i harmonia zespolone z rozumnym dziełem człowieka i natury, może nieść radość i spełnienie, jakie daje kultywowany ogród.

Fotografie: arch. S. J. Kołodziejczyka, arch. albumu „Okruchy pamięci”

Wyjątkowy skarb - Kaplica Łaski

Starzy limanowianie, jak również mieszkańcy Mordarki, powiedzą o niej „Kaplica Mordarska”. Tu należy przyznać im rację, historycznie rzecz traktując, kaplica stoi na terenie wsi Mordarka, której zachodnia część w naszych już czasach włączona została w granice rozrastającego się terytorialnie miasta Limanowa. Co więcej, kaplica ta stanowiła dla społeczności wsi Mordarka skarb wyjątkowy, dany im przez Opatrzność, który przez wieki hołubiony i pomnżany był zarówno przez dziedziców pobliskiego dworu mordarskiego, prawnych właścicieli tego miejsca, jak i przez okoliczny lud i czcicieli Matki Bolesnej, którzy od wieków ścigali do Jej – łaskami i cudami, słynącej figury.

Współczesny tytuł „Kaplica Łaski” choć na razie dla wielu trochę sztuczny, z pewnością się przyjmie i z czasem stanie się naturalnym, a są ku temu wszelkie, nawet historyczne dowody.

Poczytajmy zatem opowieści związane z tym miejscem

*Matko Bolesna łaskami wstawiona
We wsi Mordarka, na lipie zjawiona
Do Limanowej stamtąd przeniesiona
Módl się za nami do swojego Syna (...)*

To początek jednej z pieśni, jaką napisał Szymon Dutka (1849–1912), wywodzący się z Mordarki działacz i pisarz ludowy, przewodnik odpustowy i jeden z wielkich, samorodnych animatorów kultu Matki Boskiej Limanowskiej. W pieśni tej przekazuje starą, ludową tradycję o początkach kultu limanowskiej Piety. Ludowa tradycja, poświadczona licznymi, ale nie bezpośrednimi przekazami historycznymi, informuje, iż limanowska Pieta przybyła w te strony z Węgier. Ksiądz, a późniejszy biskup, Piotr Bednarczyk pisał w innej pieśni: *Przybyłaś, wieść niesie z Węgier przed wiekami, uchodząc przed mściwą niedowiarką ręką. Przybyłaś do Polski, już sławna cudami, wzeszłaś nam w Mordarce przejasną jutrzenką.*



Kaplica dworska od 1956 r. stała się własnością parafii. Po stronie wschodniej kaplicy widoczny kamienno-żelazny krzyż z I wojny światowej - to cmentarz nr 367.

Nie wchodząc w szczegółowe rozważania historyczne, które jak wspomniałem mają solidne podwaliny, stwierdzimy, iż figura Matki Boskiej Bolesnej, zwanej dzisiaj „Limanowską”, trafia do wsi Mordarka około połowy XVI wieku i jako wizerunek otoczony szczególną czcią i słynącą łaskami, zostaje umieszczona na lipie.

Lipa – rodzaj długowiecznego drzewa rozpowszechnionego w kilkunastu odmianach na terenie całej północnej półkuli świata.

W Polsce drzewo niemal kultowe (wspomnijmy chociażby słynną lipę opiewaną przez Jana Kochanowskiego, czy lipy sadzone przez króla Jana Sobieskiego). Drzewa te otulały zarówno wiejskie chaty, jak również szlacheckie dwory i pałace magnackie. Drzewa te stoją także u początków wielu polskich Sanktuariów Maryjnych – wspomnijmy tu chociażby słynne mazurskie Sanktuarium „Święta Lipka”.

Przyjmując zacytowane wcześniej fragmenty pieśni zarówno ludowego poety – Szymona Dutki, jak również autorytetu kościoła - biskupa Piotra Bednarczyka, uznać możemy, że u początków dzisiejszego, limanowskiego Sanktuarium stoi również lipa.

Podobnie było także w Mordarce, gdzie na lipie (dziś stojącej obok kaplicy) w prostej, drewnianej kapliczce, umieszczona została około połowy szesnastego stulecia dziewięćdziesięcio centymetrowa rzeźba przedstawiająca Matkę Boską (wtedy jeszcze bez korony), trzymającą na kolanach ciało umęczonego, zdjętego z krzyża Syna. Wizerunek przerażający, a zarazem ujmujący wielkim matczynym oddaniem i miłością serdeczną, którą przekazać można tym, którzy to oglądają na wyrzeźbionym, nie wiemy przez kogo, ale bardzo wyrazistym wizerunku. Do tego dochodzi jeszcze – mówiąc naszym językiem fama, iż wizerunek ten jest *już sławny cudami*.

Wróćmy jednak do mordarskiej lipy. Dziś mocno okaleczona przez czas, jest jeszcze obecnie drzewem godnym podziwu. Z potężnego pnia mającego w obwodzie 6,4m na wysokości ponad jednego metra wyrastają dwie również potężne odnogi, z których w całości do naszych czasów zachowała się tylko jedna, południowa, ta która ocienia kaplicę. Jest to lipa szerokolistna, która wg encyklopedycznych wiadomości może dożyć nawet tysiąca lat! Dodajmy, iż podobna lipa rośnie przy zabytu-

kowym kościele Matki Bolesnej Bolesnej w Czarnym Potoku - ta w obwodzie ma aż 8,5m, zaś fachowcy wyliczyli jej wiek na 530 lat.

Jak już wspomniano, ludowa tradycja wiernie utrzymuje, iż limanowska Pieta przybyła w te strony z Węgier, skąd miała uciekać przed rozszerzającą się tam herezją. Rzeczywiście – szlachta węgierska wraz ze swym królem w 1545 r. opowiedziała się za przyjęciem kalwinizmu jako religii obowiązującej w tym kraju, co wiązało się z rugowaniem katolickich księży, przejmowaniem kościołów i zamienianiem na zbory, jak i prześladowaniem tych, którzy pozostawali przy starym obrządku. Ci opuszczali swe rodzinne strony i przenosili się do innych krajów, głównie na pogranicza polskie, gdzie też przysłała reformacja, ale w postaci bardziej umiarkowanej. Ci uciekinierzy zapewne zabierali ze sobą przedmioty kultu religijnego, a taką była – jeśli uwierzmy tradycji, łaskami już słynąca figura Matki Boskiej Bolesnej. Innym dowodem historycznym był fakt, iż przez dzisiejszą Limanową przebiegał wtedy co prawda boczny, ale licznie uczęszczany szlak handlowy prowadzący z terenów węgierskiego wówczas Spisza do Krakowa. Była to zresztą jedna z najważniejszych przesłanek do lokacji miasta Ilmanowa, czyli dzisiejszej Limanowej (1565 r.).

Tu zauważmy jeszcze jeden, dla mnie ważny, ale dotąd nie spostrzegany fakt. Mówiąc o ówczesnych Węgrzech, mamy na myśli szczególnie teren bezpośrednio graniczący z Polską,

głównie tereny Spisza. To teren dzisiejszej Słowacji, która do 1918 r. stanowiła istotną część historycznego królestwa Węgier. Patronką zaś Słowacji jest Matka Boska Bolesna, a jej najważniejszym sanktuarium – Šaštín-Stráže, to jeden z najważniejszych ośrodków religijnych tego kraju. Wizerunki Piety spotkać można w wielu słowackich kaplicach i kościołach, są one również ozdobą wielu kolekcji muzealnych, zwłaszcza prezentujących sztukę ludową. Dodajmy, iż miniaturkę Piety z Šaštína możemy zobaczyć w „galerii” cudownych madonn umieszczonej w kruczkach ze stacjami Bolesci Matki Boskiej na Placu Koronacyjnym przy limanowskiej bazylice.

Reformacja religijna objęła również okolice Limanowej. Sprofanowane zostały m. in. kościoły w Chomranicach, Męcinie, Kaninie, Przyszowej, Łukowicy, Łososinie Górnej. Nie mamy na to historycznych dowodów, ale tradycja ludowa przypisuje arianizm również właścicielom dworu mordarskiego i zarazem kapliczki z cudowną figurą Matki Boskiej. Legendy te zanotował dawny proboszcz limanowski, ks. Ludwik Kowalski. Pierwsza opowiada o złej dziedziczce-ariance, która zimową porą posłała młodą dziewczynę po wodę z cudownego źródła. Dziewczyna się poślizgnęła na lodzie i zbiła gliniany dzban. Bojąc się gniewu dziedziczki, upadła na kolona przed cudowną figurą. Modląc się żarliwie spostrzegła, że rozrzucone po śniegu skorupy zrosły się znów w dzban i uniknęła czekającej ją kary. Druga legen-

da dotyczy chyba tej samej osoby. Zła heretyczka po śmierci pochowana została na przykościelnym cmentarzu limanowskim. Właśnie wtedy rozszalała się wielka powódź, grożąca zatopieniem nie tylko kościoła, ale i całego miasta. Wezbrane wody potoku starowiejskiego podmyły cmentarz, „zabierając” ze sobą tylko trumnę złej heretyczki. Grożące wszystkim niebezpieczeństwo natychmiast ustąpiło. I jeszcze jeden bardzo ważny fakt – w pobliżu lipy i zawieszanej na niej kapliczki tuż nad potokiem Mordarka wytryska źródło, którego woda jak to niesie wieść, ma moc uzdrawiającą i szczególnie pomaga zwłaszcza w leczeniu wzroku.

Rosnąca sława mordarskiej kapliczki i cudownego źródła była przyczyną, iż dziedzice dworu i zarazem właściciele łaskami słynnej rzeźby postanowili wybudować nową, dużą i prawdziwą kaplicę. A być może stało się to już po śmierci „złej dziedziczki – heretyczki” i zbiegało się z nastaniem u nas czasów kontrreformacji. A może to wotum za cudowne ocalenie przed niszczycielskim potopem szwedzkim, kiedy to w 1655 w Mordarce oddział chłopskiej partyzantki pod dowództwem Krzysztofa Dunin – Wąsowicza rozbił około stuosobowy oddział szwedzki.

Nowa kaplica musiała być budowlą na tyle dużą i solidną, że 18 sierpnia 1668 r. uroczystie ją konsekrował sufragan scholastyk krakowski biskup Mikołaj Oborski (1611-1689), nadając jej tytuł *Virginis Mariae Dolorosa*. Kaplica zbudowana była z drewna, ▶



Procesja do Kaplicy Łaski na ulicy Daszyńskiego (dziś Matki Boskiej Bolesnej) - 1947 rok.



Tysiące wiernych wyruszyły z Mordarki w kierunku kościoła parafialnego po ponownym ukoronowaniu Piety na krakowskich Błoniach - czerwiec 1983 rok.



Widok Kaplicy Łaski od strony zachodniej, po prawej „cudowne źródło”.



Studzienka z „cudownym źródłem”, nad nim na betonowym słupie kapliczka mieszcząca obraz limanowskiej Piety.

► kryta była gontem, posiadała ołtarz i wszystkie paramenta potrzebne do sprawowania Mszy św. i innych nabożeństw. Fundatorzy zakładali więc wyższe cele, niż zwykłej przydrożnej kapliczki. Przemawiałby za tym również fakt, iż jej konsekracji dokonuje biskup, co zwyczajowo zarezerwowane było tylko dla kościołów.

Z późniejszych przekazów wynika, że kaplica istotnie spełniała funkcję kościoła, do którego ściągają wierni nie tylko z Mordarki, ale i innych wiosek parafii limanowskiej, a nawet z dalekich stron. Statuę i kaplicę zaczynają przyozdabiać srebrne tabliczki, wota, drogie sygnety, korale. Bogaci się też kaplicowa skarbonka, a zgromadzonymi w niej pieniędzmi zarządza według swego uznania miejscowy dziedzic.

Dwór założył również „księgę”, w której wpisywano wszystkie otrzymane przez pielgrzymów łaski. Z zachowanych do naszych czasów dwóch pergaminowych kart tego dokumentu z lat 1697-1713 wynika, iż przybywali tu pielgrzymi m. in. z Brzeżnej, Nowego Sącza, Rybia, Kaniny, Klęczan, Łącka, Słopnic, Szyku, Dobrej, Krościenka, Pisarzowej, Łapanowa, Łukowicy, Kamienicy, Kierlikówki i innych miejscowości.

Żywiłowy niemal rozwój nowego miejsca kultu, jakim stała się kaplica w Mordarce, doprowadzić musiał

do konfliktu z odległym zaledwie o dwa kilometry kościołem parafialnym w Limanowej.

W 1706 r. proboszcz limanowski Sebastian Liskiewicz złożył do sądu biskupiego w Krakowie skargę, że w kaplicy mordarskiej lud się gromadzi tłumnie, nie tylko z parafii tej, ale i całej okolicy. Parafianie limanowscy opuszczają tłumnie swój kościół i zbierają się na nabożeństwach w kaplicy, w której nieznanymi kapłanami dotknięci cenzurami kościelnymi, a nawet apostaci odprawiają nabożeństwa. Rozgłaszane są cuda, których wiarygodność nie może być sprawdzona, zaś pewność w urojone cuda podkopuje wiarę.

Konsystorz biskupi zarządza zamknięcie kaplicy, dopóki sprawa nie zostanie zbadana. Poleca dziekanowi sądeckiemu Józefowi Jordanowi archidiakonowi kolegiaty sądeckiej, proboszczowi w Podegrodziu, by zarządzenie to było ogłoszone w całym dekanacie sądeckim, do którego wówczas należała Limanowa. Za złamanie tego zarządzenia groziły srogie kary kościelne.

Prawdopodobnie ogłoszenie to odniosło skutek, bo ksiądz Liskiewicz nie składał dalszych skarg.

Wizytujący w 1727 r. parafię limanowską oficjał sądecki ksiądz Józef Jordan z Zakliczyna, kanonik krakowski i archidiakon sądecki, potwierdza autentyczność kultu Matki Boskiej Bolesnej,

czczonej w kaplicy mordarskiej. Poleca ówczesnemu proboszczowi Wojciechowi Sarneckiemu otoczenie szczególną opieką figury Piety i kaplicy oraz powołanie specjalnej komisji, która miała urzędowo zbadać kult Matki Boskiej Bolesnej. Nadal utrzymywał zakaz odprawiania w kaplicy nabożeństw.

Spór o kaplicę w Mordarce rozpoczął się na nowo za czasów proboszcza Ignacego Sędzimirza, z ówczesnym właścicielem dworu mordarskiego – Walentym Gurzyńskim.

W 1742 r. po misjach i specjalnym nabożeństwie proboszcz przynosi figurę Matki Boskiej Bolesnej do kościoła parafialnego w Limanowej. W nocy Gurzyński wraz ze swymi ludźmi włamuje się przez okno do kościoła limanowskiego, wykrada figurę i z powrotem przynosi ją do kaplicy w Mordarce. Spór o figurę rozstrzygnął dopiero wyrok sądu biskupiego w Krakowie z dnia 2 maja 1753 r., nakazujący umieszczenie figury w kościele limanowskim. Po misjach parafialnych proboszcz ks. Jan Zwiernikiewicz w uroczystej procesji przynosi figurę Piety do kościoła, umieszczając ją w ołtarzu głównym. Protestuje dziedziczka Teresa z Lipskich Dembińska, ale sąd biskupi protest odrzuca.

Wielki pożar 1769 r. zniszczył całe miasto, w tym również kościół parafialny. Pieta cudownie ocalała i z po-



Wnętrze kaplicy. W ołtarzu figura Matki Boskiej Bolesnej nawiązująca do oryginalnej limanowskiej Piety. Na suficie malowidło przedstawiające *Wniebowzięcie Najświętszej Maryi Panny*



Po obu stronach drzwi malowidła ścienne obrazujące legendy związane z kaplicą.

wrotem przeniesiona została do kaplicy w Mordarce. Przebywała tam do 1774 r., kiedy to na limanowskim rynku wzniesiono prowizoryczną kaplicę. W tym czasie kaplica mordarska pełniła również rolę limanowskiego parafialnego kościoła. Budowę również drewnianego kościoła parafialnego w Limanowej rozpoczął w 1777 r. ks. Szczepan Duszyński, nadając mu wezwanie Matki Boskiej Bolesnej i umieszczając w głównym ołtarzu słynną łaskami figurę Piety.

Pozbawiona cudownej figury i zapewne innych precjozów świadczących o jej kulcie – jak chociażby liczne już wtedy wota, mordarska kaplica podpadła, poszła w ruinę i została rozebrana. W jej miejscu na przełomie XVIII/ XIX stulecia dziedzice dworu mordarskiego wzniesli nową, tym razem murowaną, która stoi do dnia dzisiejszego.

Wzniesiona jest z kamienia, z zewnątrz i wewnątrz otynkowana. Dach pokryty gontem. Do kaplicy wprowadza prostokątna krypta. Wnętrze prostokątne z półkolistym prezbiterium. Przeniesioną do limanowskiego kościoła Pietę zastąpiono późnobarokową rzeźbą, w ogólnym układzie nawiązującym do swego pierwowzoru. Postać bolejącej Matki okrywa czerwona suknia i turkusowy płaszcz, głowę zdobi barokowa w kształcie złocona korona. Ciekawe, iż ten wła-

śnie wizerunek, a nie oryginał, jest powtarzany często w robionych rzeźbach zdobiących wiejskie kapliczki, zwłaszcza wykonanych przez limanowskiego snycerza Teodora Twaroga (1824-1904).

W 1956 r. kaplica formalnie została przekazana parafii limanowskiej, wcześniej dokonano jej generalnego remontu, m. in. otaczając ją kamiennym ogrodzeniem, krytym gontowym daszkiem.

W latach 1955-56 wykonano nową polichromię, m.in. umieszczając na ścianach sceny z przytaczanymi wcześniej legendami związanymi z tym miejscem. Nowe drzwi wejściowe oraz ołtarz wykonał pochodzący z Borzęcina, a pracujący w Limanowej snycerz Władysław Stolarz, który również wykonał ławki do limanowskiego kościoła. Wtedy to przeniesiono na limanowski cmentarz parafialny grób żołnierski i kamienno - żeliwny krzyż, które umieszczone zostały przy wschodniej ścianie kaplicy podczas I wojny światowej, jako wojenny cmentarz nr 367.

Pielęgnacji i zabezpieczeniu poddano wiekową lipę (w 1964 r. wpisana urzędowo jako pomnik przyrody). Uporządkowano również i zabezpieczono studzienkę z dawnym „cudownym źródłem”, umieszczając nad nią betonowy słup z kapliczką mieszczącą obraz limanowskiej Piety.

Fotografie, jak też opisy kapliczki trafiły do różnych folderów, przewodników i wydawnictw, ukazując ją jako jeden z najciekawszych obiektów miasta i regionu. Jest odwiedzana przez turystów i pielgrzymów przyjeżdżających do limanowskiego sanktuarium. Ma też własne święto - w niedzielę po zakończeniu wielkiego tygodniowego limanowskiego odpustu, w godzinach popołudniowych, z Bazyliki wyrusza do Mordarki barwna i rozśpiewana procesja. Limanowska Pieta w swej kopii nawiedza swoją „ojcowiznę”, by po uroczystej Mszy świętej z powrotem powrócić na swój tron. Wędruje, jak przed wiekami, kiedy rozpoczynała swe limanowskie panowanie. I jeszcze jeden ciekawy, ukształtowany w naszych czasach obyczaj - stąd wyruszają do swego parafialnego kościoła księża – prymicyjanci, by przed wizerunkiem Piety odprawić pierwszą Mszę świętą i podziękować za dar kapłaństwa.

Odwiedzmy kaplicę w Mordarce (Limanowej) i przy okazji pomyślmy o naszej limanowskiej historii. W naszej drodze życiowej „do przodu” warto pomyśleć o złożonej, nieraz dziwnej przeszłości.

Fotografie: arch. albumu „Okruchy pamięci”, Stanisław Ociepka

Ulica Achacego Jordana

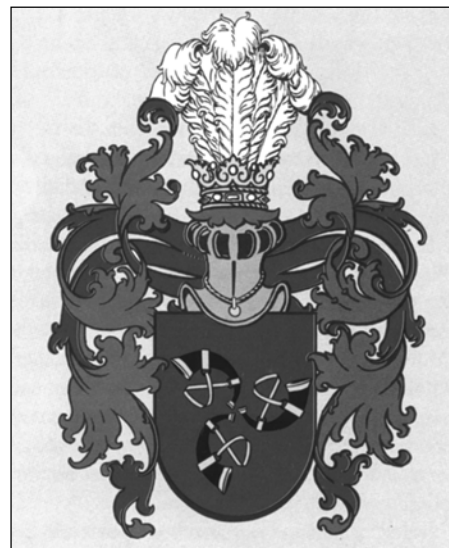
Krótką, ale bardzo ruchliwą ulicą w południowej części centrum miasta, łukowatą łączącą ruch kołowy pomiędzy ulicami Józefa Marka i Zygmunta Augusta. Jest też najdogodniejszą drogą z osiedla Sportowe w kierunku rynku. Stoją przy niej ważne obiekty użyteczności publicznej – hala sportowa, mieszczący podstawówkę i gimnazjum Zespół Szkół nr 3, popularnie zwany „Trójką”, Przedszkole nr 1, Żłobek Miejski. Trzy duże bloki mieszkalne, do których najłatwiejsze dojście i jedyny dojazd są od strony tej ulicy, pomimo że urzędowo stoją przy ulicy Józefa Marka. To istniejący stan faktyczny z czasów, kiedy owe bloki budowano – czyli z przełomu lat 50/60 ubiegłego stulecia. Wtedy jeszcze ulicy Jordana nie było, a logiczna i łatwa z pozoru decyzja o uaktualnieniu stanu faktycznego praktycznie jest trudna do wykonania – to nie tylko zmiana uchwały i nowych tabliczek, ale nowe adresy kilkuset lokatorów, zmiana dowodów osobistych i innych dokumentów zamieszkałych tam ludzi. Tak więc, oficjalnie, przy ulicy Achacego Jordana znajduje się tylko jeden lokal mieszkalny – to służbówka w Szkole Podstawowej nr 3.

Ulica Achacego Jordana powstała z przebudowy drogi gospodarczej dawnego folwarku Marsów. Stały przy niej, w miejscu dzisiejszych bloków, trzy potężne, nakryte czerwoną dachówką stodoły. Po II wojnie światowej stodoły te użytkowane były przez Państwowy Ośrodek Maszynowy (POM), jako hangary dla dużych maszyn rolniczych. W miejscu dzisiejszego sklepika stał czworak dworski, zaś w miejscu dzisiejszego żłobka- duży barak, mieszczący transport i warsztaty wodno – kanalizacyjne limanowskiego MPGK. Obecnie ulica ta nosi nazwę St. Jordana.

To tyle wprowadzenia - zajmijmy się teraz pierwszym patronem ulicy – Achacym Jordanem herbu „Trąby”. Był synem Jana i Doroty z Kępna, dziedzic Zakliczyna, właściciel Bobowej, Drogimi, Kępna, celnik sandomierski, dzierżawca lipnicki, starosta brzeźnicki, bolesławski i muszyński, kasztelan zawichostki w końcu kasztelan biecki i starosta sądecki, w 1527 r. stał się również właścicielem Ilmanowej Nowej i Ilmanowej Starej, Lipowego i Woli (części dzisiejszej Starej Wsi). Dobra te nabył od dotychczasowych właścicieli – Słupskich herbu „Drużyna”, kupując również od nich Sowliny, Mordarkę, Jabłoniec. Wsie te utworzyły może niezbyt rozległy, ale zwarty klucz ziemski, którego nowy właściciel – Achacy Jordan zorganizował gospodarczo i administracyjnie, stwarzając podstawy do późniejszego powstania miasta o nazwie Ilmanowa – czyli dzisiejszej Limanowej. Ale zanim o tym szerzej powiemy zajmijmy się herbem. Były dwie jego odmiany – w wersji przyjętej przez Jordanów miał czerwoną tarczę, na której umieszczone były trzy czarne rogi (trąbki) myśliwskie o złotych nawiązaniach (ozdobnych okuciach), złączone munsztunkami (ustnikami) w gwiazdę. W klejnocie – czyli zwieńczeniu tarczy herbowej, pięć strusich piór.

Był to zarazem jeden z najstarszych rozpowszechnionych herbów, którym pieczętowała się szlachta polska – tak w koronie jak i na Litwie. Ponad sto rodów należących do tego klejnotu dało krajowi wielu sławnych mężów. Wymienimy chociażby Mikołaja Trąbę (1358-1422), osobisty spowiednik i doradca króla Władysława Jagiełły, dyplomaty, orędownika wyprawy wojennej przeciw Krzyżakom, która doprowadziła w 1410 r. do wielkiej wiktorii grunwaldzkiej. Przed Karolem Wojtyłą to chyba najwybitniejszy polski duchowny katolicki, notariusz królewski od 1390 r., podkanclerzy koronny 1403–1412, arcybiskup halicki, arcybiskup gnieźnieński od 1412, pierwszy w historii prymas Polski od 1417. W latach 1417–1418 przewodniczył polskiej delegacji na Sobór w Konstancji, bardzo tam aktywny doprowadził do wyboru papieża Macieja V, zapobiegając schizmie w Kościele. Tam to ponoć nie skorzystał z propozycji zostania papieżem oświadczając, iż możliwe by to było, gdyby Stolicę Piotrową przeniesiono z Rzymu do... Krakowa. Na Litwie herbem „Trąby” pieczętowali się potężni Radziwiłłowie.

Gniazdem rodowym Jordanów był położony nad Dunajcem Zakliczyn. Stąd rozprzestrzenili się po całej Małopolsce, po-



Herb rodu Jordanów.



Fot. S. Ociepka

Odrestaurowana późnogotycka chrzcielnica z bazyliki limanowskiej z 1527 roku, kiedy kolatorem pierwszego, drewnianego kościoła był Achacy Jordan.

mnażając swój stan posiadania drogą koligacji rodowych i kupna. Wiernie służyli polskim królom, za co byli wynagradzani licznymi dostojenstwami, urzędami, dzierżawami. Tu, można powiedzieć, byli szczególnymi kolekcjonerami. Przedstawiając osobę Achacego Jordana wyliczyliśmy, nie wszystkie zresztą, urzędy i godności, jakie osiągnął. To samo można powiedzieć o jego ojcu – Janie, dziedzicu Zakliczyna, wielkorządcy krakowskiemu, staroście oświęcimskiemu, staroście wielickiemu i bocheńskiemu.



Jedna z wielu stodół dworskiego majątku Marsa. W głębi bloki pierwszego osiedla z początku lat 60-tych XX w.

W 1505 r. wykupił od Ratułdów starostwo nowotarskie. Zmarł w 1507 r., o jego pozycji społecznej świadczy chociażby fakt, iż pochowany został w kościele św. Katarzyny na Kazimierzu – dzisiejszej dzielnicy Krakowa.

Byli też Jordanowie doskonałymi gospodarzami, rozbudowując posiadane osady i zakładając nowe - wśród tych drugich jest dzisiejsza Limanowa i miasto Jordanów, które do tej pory herbem „Trąby” się pieczętuje. Zakupiony w latach 1527/28 „klucz limanowski” składał się z wsi: Ilmanowa, Jabłońiec, Wola, Lipowe, Sowliny i Mordarka. Z tych najstarszą jest Ilmanowa. W źródłach historycznych po raz pierwszy wzmiankowana jest jako własność Słupskich herbu „Drużyna” pod datą 1498 r., ale historycy badający przeszłość tych stron są zgodni, iż datę – lokacji tej wsi należy przenieść na czas około połowy XIV stulecia, czyli na okres panowania Władysława Łokietka lub Kazimierza Wielkiego. W czasach Achacego Jordana, skracając wywody historyczne, Ilmanowa jest podzielona na dwie części: Ilmanową „Starą” i Ilmanową „Nową”. Ta pierwotna, po połączeniu się z Wolą i Jabłońcem da później Starą Wieś, a zaś Ilmanowa „Nowa” to teren dzisiejszego miasta Limanowa. Objął on obszar w niektórych źródłach określony jako „Rzeki”, ale tu przecież łączą się trzy potoki: Mordarka, Jabłońiec i Starowiejski w rzeczkę Sowlinkę.

Atrakcyjność tego miejsca pod względem gospodarczym wzmacniał fakt, iż tu była stacja popasowo-noclegowa, na „dzikim”, ale licznie wtedy uczęszczanym szlaku handlowym, pro-

wadzącym z Węgier do Krakowa. Na znaczenie Ilmanowej jako lokalnego ośrodka wpłynęły dwa fakty: powstanie parafii i ustanowienie siedziby władzy sądowej.

Pierwszy kościół limanowski był bezsprzecznie fundacją Słupskich, w swych początkach był jednak filialny w stosunku do kościoła w Łososinie Górnej. Achacemu Jordanowi, choć dawniej przypisywano mu budowę tej świątyni, przyznać należy usamodzielnienie limanowskiej parafii i należyte uposażenie kościoła tak, by mógł spełniać funkcję świątyni parafialnej.

Wiemy, iż pierwszym proboszczem limanowskim był ks. Jan z Olkusza. Po nim nastąpił Bartłomiej z Opatowa, zakonnik ze zgromadzenia Kanoników regularnych laterańskich, u nas popularnie zwanymi wtedy „Markami”, których klasztor znajdował się w Trzcianie koło Bochni. Z klasztorem tym Jordanowie w owym

czasie utrzymywali bardzo żywe kontakty, otaczając go szczególną opieką. Być może zwrócenie swej uwagi na kapłana – zakonnika wynikało z faktu, iż parafia limanowska określana w dokumentach jako „chuda fara” (biedna parafia) nie była w stanie utrzymać kapłana.

Z czasów tych dochował się (oprócz zapisów historycznych) jeden materialny ślad – to późnogotycka chrzcielnica stojąca w Bazylicy pw. Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej, służąca zresztą parafii do dnia dzisiejszego. Wykonana w 1527 roku jest jedną z najstarszych tego rodzaju chrzcielnicą na terenie Małopolski i jedną, jeżeli nie jedyną późnogotycką chrzcielnicą drewnianą. W 2009 roku chrzcielnica została poddana konserwacji i przywrócono jej pierwotny wygląd. Prace prowadzone były w Pracowni Konserwacji Dziej Sztuki Janusza Czo-pa w Krakowie i Konserwacji Dziej Sztuki Rafała Bukowskiego w Zabierzowie.

Podobna chrzcielnica, ale kamienna jest w kościele parafialnym w Trzcianie (dla „starszych” limanowian dodam, że to tam, gdzie proboszczem był śp. ks. Władysław Ryś).

Gromadząc różne ciekawostki historyczne dotyczące regionu limanowskiego, natknąłem się jeszcze na jedną wzmiankę o dbałość limanowskiego kościoła przez Achacego Jordana. Otóż w 1528 roku przed sądem krakowskim, toczy on spór o wykupienie dzwonu, odlanego dla kościoła w Górze św. Jana. Dzwon ten zdeponowany był u krakowskiego odlewnika o nazwisku Szczerba. Nie trafił jednak do Limanowej, gdyż parafianie z Góry św. Jana zebrali odpowiednie fundusze i zdolali dzwon wykupić. ▶



Szkoła podstawowa przy ulicy Achacego Jordana. Fotografia z lat sześćdziesiątych XX wieku.

Na wzrost znaczenia Ilmanowej „Nowej” wpłynął fakt, iż stała się miejscem sądów „gajonych” dla poddanych całego klucza ziemskiego, określmy go mianem „limanowskiego”. Być może stało się to jeszcze za Słupskich, ale Achacy Jordan nadał temu formy urzędowe – m. in. przez zaprowadzenie ksiąg sądowych, które zachowały się do naszych czasów w Archiwum Państwowym w Krakowie i są dzisiaj wspaniałym źródłem do poznania początku miasta Limanowa. Dla przykładu – wiemy, iż w 1547 r. sąd „Leński” zebrał się w domu wójta Macieja Jeża, zaś jako ławnicy uczestniczyli w nim: Jan Horus, Stanisław Siarka, Stanisław Bulanda, Maciej Zabrzycki, Jakub Piszczek, Maciej Sroka, Maciej Żebrocki. Zauważmy, iż występuje tu urząd wójta, zastrzeżony wtedy dla miast osadzonych na prawie magdeburskim. O lokacji miasta myślano więc wcześniej, niż stało się to urzędowo w 1565 r.

Achacy Jordan zmarł w 1547 r., Ilmanowa w spadku otrzymała jego syna Stanisława, za rządów którego Ilmanowa formalnie stała się miastem.

Być może to Stanisławowi bardziej by się należała ulica w mieście Ilmanowej? Ale ktoś, gdy nadawano tę nazwę, nie doczytał, a zasługi Achacego Jordana dla początków miasta są wielkie. Dodajmy, że był też protoplastą linii rodowej Jordanów, którą niektórzy historycy określają mianem „limanowskiej” i z dziejami naszego miasta ród ten związany był przez okres prawie stu lat.

Pamiętkom po Jordanach jest trąbka – róg myśliwski, element herbu naszego miasta. Ulica Achacego Jordana jest więc pewnym symbolem oddającym hołd miastu Limanowa dla całego rodu Jordanów, herbem „Trąba” się pieczętującym.

Od Redakcji :

*Publikowany powyżej tekst dotyczy tej samej ulicy. Powstał przed kilku laty, kiedy nosiła swą pierwotną nazwę **Achacego Jordana**. Później uchwałą Rady Miasta nadano jej imię **Stanisława Jordana**. Wypełniono więc postulowany przez autora fakt, iż nazwa ulicy bardziej przystępowała faktycznemu założycielowi Limanowej. Nie chcieliśmy zbyt ingerować w pierwotny tekst tym bardziej, że dotyczy członków tego samego rodu – Jordanów herbu „Trąby”. Stanisławowi Jordanowi i jego zasługą przy powstaniu naszego miasta poświęcimy więcej miejsca w kolejnym numerze „Echa”.*

Fotografie: arch. albumu „Okruchy pamięci”

Bitwa o Wzgórze



Znoszenie zwłok do mogił oraz wykonanie pierwotnego cmentarza na miejscu bitwy. Na grobach żołnierskich drewniane krzyże.

Konflikt między monarchią austro-węgierską, a carską Rosją w 1914 r. obudził w Polakach nowe nadzieje na rozwiązanie sprawy polskiej, na odzyskanie niepodległego bytu i powstanie własnego państwa.

Pod wpływem galicyjskiej prasy rosła fala entuzjazmu i rozpoczęły się prace zmierzające do utworzenia polskich formacji militarnych mających włączyć się do walki ze zniechęconym caratem.

Powstawały nowe oddziały strzeleckie, ruszyły „zbiórki” na ekwipunek i mundury dla polskich zuchów, bo wierzono, że przy pomocy Habsburgów uda się zjednoczyć pozostałe pod zaborami polskie ziemie. Komendant Józef Piłsudski był również przekonany o tym, że Austria pomoże Polakom, jeśli tylko oni wykażą się odpowiednią siłą militarną i bojową.

To wszystko wydawało się w planach bardzo piękne i wzniosłe, ale pozostawała sprawa wielkości wkładu, który nasz naród miał ponieść.

Władze austriackie ogłosiły pobór i wcieliły do wojska tysiące Polaków, młodych, sprawnych mężczyzn. Zarekwirowano konie i wozy. Do pracy na roli pozostawiono jedynie starych i chorych, dzieci i kobiety.

Wojna zażądała ofiar nie tylko w ludziach. Wojna niszczyła dobytek, miasta i wsie. Na dodatek armię trzeba było umundurować, zaopatrzyć w oręż i wykarcić.

Ta wojna, początkowo tak daleka i odległa, milowymi krokami zaczęła zbliżać się do Limanowej i pod koniec listopada 1914 roku stało się jasne, że starcie pomiędzy wrogimi siłami nastąpi lada dzień w pobliżu małego, spokojnego miasteczka.

Część mieszkańców Limanowej, obawiając się bezpośrednich działań wojennych, w trosce o swoje życie zaczęła opuszczać miasto, szukając schronienia u rodzin, znajomych lub obcych. W mieście pozostali najbiedniejsi, którzy nie mieli gdzie i za co uciekać oraz grupa zamożnych obawiająca się pozostawienia swego dobytku na łasce losu, bo prawdopodobnie nie byłoby do czego wracać.

Na początku grudnia przybyło do miasta wraz z wojskiem dowództwo austriackie i rozpoczęło się kopanie rowów strzeleckich biegnących od Golcowa poprzez Starą Wieś aż do Łysej Góry. Rozlokowano artylerię i przygotowywano się do starcia wrogich wojsk.

Jan Gawron, wójt starowiejski mieszkający Podjabłońcem „dwoił się i troił”, by zapewnić żołnierzom kwatery. Nie było to takie łatwe, bo domostwa mieszkańców były niewielkie, a rodziny liczne. W końcu udało mu się, choć z trudem, znaleźć dla wszystkich kąty do spania, nie omijając własnej chaty, która, jak na owe czasy, była dosyć obszerna, bo oprócz dużej kuchni, mieściła dwie izby

Jabłoniec z Erosem w tle



Pierwotny wygląd cmentarza wojennego na wzgórzu Jabłoniec - 1914 rok.

i komorę. Bardzo się starał, bo żołnierze, których miał zakwaterować, byli Polakami, a dla „swoich” gotów był wszystko uczynić, byle tylko ich i tak ciężki los, uczynić znośniejszym.

W efekcie w domu wójta znalazło nocleg aż 22 żołnierzy, a wśród nich 23-letni Wojciech Markowski pochodzący z Sokolnik koło Lwowa. Sokolniki to była wieś szczególna, typowo polska.

Wojciechowi w czasie pobytu na kwaterze „wpadła w oko” córka wójta Katarzyna. Wojtek po powrocie z ćwiczeń i prac przygotowawczych każdą wolną chwilę spędzał z Kasią. Nosił wodę do kuchni, a dziewczyna wyprosiła, by rodzice pozwolili ugotować dla żołnierzy ogromny garnek ziemniaków i okrasić je słoniną specjalnie przechowywaną w beczce na zimowy okres.

Wójtowa niechętnym okiem patrzyła na umizgi żołnierza, bo Katarzyna miała powodzenie u chłopców, ale była już z jednym „po słowie”. Wybuch wojny i możliwość powołania go do wojska spowodowały odroczenie, ale nie przekreślenie mariażu. Córka była wyjątkowo wartościową osobą, bo oprócz wiana, świetnie szyla, miała wiele zamówień i potrafiła zapracować na rodzinę. Przyszły oblubieniec także odznaczał się licznymi walorami. Dlatego matka, bojąc się zmian w rodzinnych planach, przestrze-

gała córkę przed „obcym”. Katarzyna zapewniała, że niczego nie myśli zmieniać, ale matka „swoje” wiedziała.

Wczesnym rankiem po pobudce żołnierze biegli do swoich zajęć, odbywali ćwiczenia, umacniali okopy, pozorowali natarcia, a mieszkańcy przygotowywali się do przetrwania tego trudnego

okresu i zabezpieczenia mienia, by po rozegranej bitwie i przesunięciu się frontu można było jakoś egzystować.

Zapasy żywności - zboże, mąkę, kaszę, groch i słoninę dawano do beczek, „przydziewkę” do skrzyń i to wszystko zakopywano w ziemi z dala od domu, by w razie pożaru przynajmniej coś uratować.

8 grudnia 1914 r. rozpoczęła się trwająca 4 dni bitwa o wzgórze Jabłoniec. Walki pomiędzy armią rosyjską i austriacką toczyły się ze zmiennym skutkiem. Przełom w zmaganiach przyniósł szturm na bagnety zapoczątkowany przez węgierskich honwedów. Rosjanie bronili się zaciekle. W czasie walk poległ węgierski pułkownik Othmar Muhr.

Ostatecznie Rosjanie ponieśli klęskę i wycofali się przez Kaninę i Sierkierzynę w okolice Nowego Sącza. Front zyskał charakter pozycyjny i zatrzymał się w dolinie Dunajca i Białej, by dopiero na wiosnę po bitwie pod Gorlicami ruszyć dalej.

W czasie krwawych starć żołnierze nie wracali na kwatery. Nocą zbierali rannych, poprawiali szańce, dokonywali przegrupowań, pełnili warty, a obsługa kuchni polowych starała się dostarczyć im żywność.



Okolo 1916 roku zostali sprowadzeni przez Oddział Grobów Wojennych przy dowództwie okręgu wojskowego „Galicji Zachodniej” do Limanowej „kamieniarze” (włoscy jeńcy). Pracowali oni przy budowie cmentarza na wzgórzu Jabłoniec oraz kościoła w Limanowej.

W domach znajdujących się w pobliżu pola walki nie wolno było w ciągu dnia palić w piecach, by snujący się dym nie naprowadzał nieprzyjaciela.

Mieszkańcy terenów znajdujących się blisko placu boju opuszczali swoje domy zanim zaczął się świt i uciekali razem z żywym inwentarzem do bezpieczniejszych miejsc.

Tak było też w gospodarstwie wójta. Jeszcze przed rozpoczęciem bitwy każdy członek rodziny miał wyznaczone zadanie. Zabrawszy krowy i cieleta, a nawet psa - stróża wyruszyli do przyjaciela Jana Gawrona - Antoniego Pałki mieszkającego w przysiółku zwanym Doliną. Obniżenie terenu spowodowało, że wszystkie pociski szczęśliwie ominęły ten azyl. Chcąc zapewnić zwierzętom i ludziom pożywienie, „uciekiniery” przynosili ze sobą wiązki siana dla bydła, a dla ludzi zawiniątka z chlebem i jęczmienną kaszą, którą gotowano u gościnnego sąsiada i „pojadano” z mlekiem. Przeprowadzone bydło umieszczono w specjalnej wiacie, która służyła gospodarzowi do przechowywania drewna opałowego, a przez te kilka dni była oborą.

Po zapadnięciu zmierzchu i zaprzestaniu ostrzału rodzinna kawalkada wyruszyła do domu, a świtem sytuacja się powtarzała. Tak działo się nie tylko w wymienionej rodzinie, lecz w każdym domu leżącym blisko pola walki.

Szczęśliwa gwiazda jakoś świeciła biednym mieszkańcom Starej Wsi, bo pożary nie zniszczyły ich domów w przeciwieństwie do dworu na Lipowym, który spłonął w całości wraz ze stajniami czy drewnianych obór dziedzica starowiejskiego Marsa, które spotkał ten sam los.

Straty ponieśli natomiast mieszkańcy Mordarki. Na szczęście ocalał nowo budowany kościół w Limanowej.

Po bitwie i wycofaniu się Rosjan z okolic Limanowej znikło bezpośrednie zagrożenie życia, lecz pojawiło się inne niebezpieczeństwo. Na bitewnych polach leżało wielu poległych, a tymczasem nastąpiła odwilż i mogło dojść do wybuchu epidemii.

Dlatego też starosta powiatowy wezwał wójta Jana Gawrona i polecił mu zorganizować pochówek. Władze powiatowe wyznaczyły teren pod cmentarz w miejscu najkrwawszych walk na południowym stoku Jabłońca i trzeba było zabrać się do pracy. Przy pochówku pracowali wszyscy mężczyźni ze Starej Wsi, których ominął pobór. Nie zostało ich wielu, poza tym byli to ludzie starzy lub kalecy.



Córki Anny z Dębskich Gawron i Jana Gawrona, wieloletniego wójta Starej Wsi. Od lewej: Katarzyna, Zofia, Kunegunda, Anna i Wiktoria.

Dlatego dowództwo austriackie przyszło wójtowi z pomocą i przydzieliło jeńców rosyjskich zakwaterowanych „pod strażą” w karczmie na Gwizdówce. Jeńcy kopali groby, Polacy dowozili poległych.

Wójt wybrał się na oględziny pobojowiska razem z synkiem Wincentym, który chwycił się ojcowskiej dłoni i nie pozwolił sobie wytłumaczyć, że tam może zobaczyć obrazy, których dziecko nie powinno oglądać. Mały się uparł, a ojciec nie potrafił mu odmówić i poszli razem. To, co zobaczył, zaowocowało w późniejszym, dorosłym życiu licznymi obrazami ukazującymi żołnierzy różnych formacji, a w konsekwencji powstaniem Muzeum Polskiego Oręża.

Niektórzy polegli byli już pozbawieni obuwia, które zabrali mieszkańcy pobliskich wsi, bo ono miało dla nich ogromną wartość.

Tylko ciała oficerów wywieziono natychmiast po bitwie i pochowano w Tymbarku. Zwykli, szeregowi żołnierze czekali na swą kolej. Byli grzebani bez trumien, owinięci jedynie w wojskowe szynele.

Kiedy wójt pojawił się na polu bitewnym, jeszcze działały służby sanitarne. Sprawdzały czy wśród leżących nie ma żywych. Jan Gawron też rozglądał się wokoło, poszukując tych, którzy u niego kwaterowali. Na szczęście nikogo nie znalazł. Miał już odchodzić na drugą stronę zbocza, gdy usłyszał jęk. Ktoś wołał cicho i niewyraźnie. Podeszedł bliżej i zobaczył

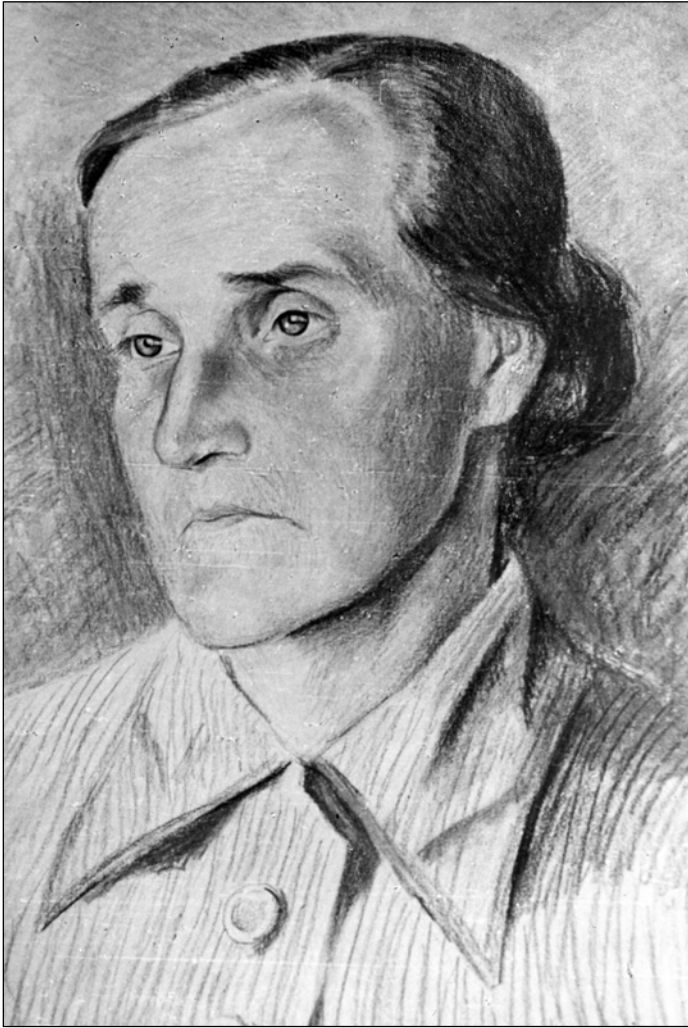
owego żołnierza, który tak adorował jego córkę. Wojak żył, ale był ciężko ranny. Sanitariusze nie odnaleźli go, bo był przykryty ciałami zabitych, a on nie miał siły, by je odrzucić. Przeżył tylko dzięki temu, że mróz zelżał, a poza tym przed zimnem chroniły go nieco ubrania poległych.

Wójt przywołał służby sanitarne, by zabrały rannego. Kiedy go zabierano, odzyskał przytomność, rozpoznał Jana Gawrona i słabym głosem zaczął prosić o adres córki Kasi. Jan nie wiedział, co robić, ale przynaglany przez rannego, którego miano przewieźć do lazaretu napisał adres córki na kwicie podatkowym. Nie liczył, że żołnierz tak ciężko ranny przeżyje, a zwłaszcza, że nawiąże korespondencję. Nie powiedział też nic o zdarzeniu ani córce, ani żonie.

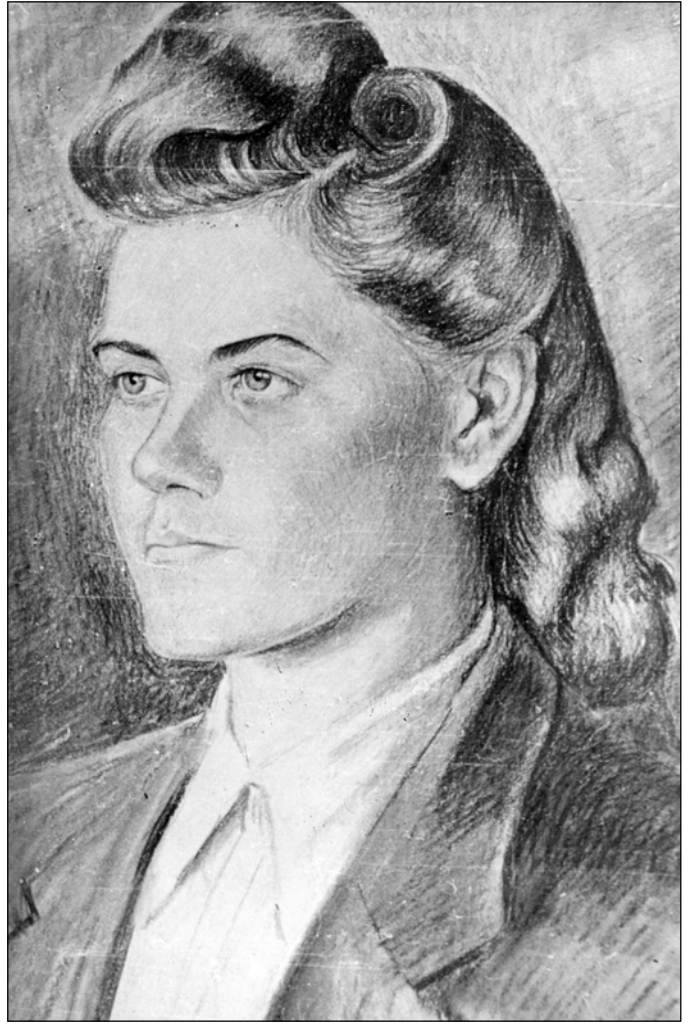
Miał inne sprawy na głowie. Na wozy zwane „krowiarkami” przeznaczonymi do wywozu obornika, zaprzężonymi w woły lub krowy mężczyźni ładowali poległych i przewozili do grobów kopanych przez Rosjan. Po zasypaniu mogił stawiano na nich małe drewniane krzyże i umieszczano napisy mówiące o liczbie pogrzebanych i ich narodowości.

Uroczyste poświęcenie żołnierskiego cmentarza nastąpiło 1 listopada 1915 roku. Dokonał go ówczesny proboszcz ks. Kazimierz Łazarski.

Uporządkowanie cmentarza, ogrodzenie go, postawienie obelisku i wybudowanie mauzoleum zwanego przez



Katarzyna z Gawronów Markowska. Portret wykonany w 1944 roku kredką przez brata Wincentego, który ukrywał się w czasie okupacji u siostry w Mordarce.



Córka Katarzyny Markowskiej, Maria (Mazur). Portret wykonany przez wujka Wincentego pod koniec 1944 roku.

mieszkańców kaplicą nastąpiło jeszcze przed zakończeniem działań wojennych.

Zapracowany wójt w ferworze zajęć zapomniał o incydencie z rannym. Znosił różne ciężary związane z wojną i dodatkowymi obowiązkami nałożonymi przez zaborcę. Szczególnie we znaki dawały się przymusowe prace przy naprawie dróg, którymi poruszało się wojsko. Wiosenne roztopy i jesienne słoty wypłykiwały kamień, a asfaltu wówczas nie znano. Sprzężaju nie było, ludzi brakowało, a wymagania władz administracyjnych rosły. W domu zbierał podatki, wystawiał asygnaty na bydło, prowadził korespondencję urzędową i dostarczał mieszkańcom korespondencję. Było jej teraz mniej niż w czasach pokoju, ale przychodziła, co gorsze znajdowały się w niej raczej smutne wieści o zgonach młodych ludzi, którzy padli gdzieś na frontach wojny. Poczty odbierało się w starostwie. Chodziła po nią zwykle któraś z córek, wyręczając w tym ojca i dostar-

czała ją zainteresowanym. Najczęściej list należało zainteresowanemu przeczytać, bo wiele starszych osób nie znało sztuki czytania.

Wójt nawet o tym nie wiedział, że do córki Katarzyny latem 1915 roku przyszedł list z wiadomością od żołnierza Wojciecha. Napisał, że wyzdrowiał i znów jest na froncie. Prosił ją, by czekała i została jego żoną. Nie powiedziała o tym rodzicom. Ojca dziwiło tylko, że zawsze taka zajęta szyciem, teraz bardzo chętnie biegła po pocztę, wyręczając inne siostry.

Listy z frontu przychodziły rzadko, co 3 - 4 miesiące w zależności od działań wojennych, postojów i poczty polowej.

Gdy front się oddalił, dawny narzeczony zmierzał do ślubu, ale oblubienica odwlekała, tłumacząc zwłokę wojną.

Wojna się skończyła w listopadzie 1918 r. a na wiosnę 1919 r. przyjechał Wojciech ze swatami. Ślub Katarzyny z Wojciechem Markowskim odbył się w czerwcu 1919 roku.

Młodzi zamieszkali najpierw w Sokolnikach, a potem wybudowali dom we Lwowie. Wojciech był kolejarzem, Katarzyna szyła. Dochowali się trójki dzieci. Byli bardzo zgodnym i dobranym małżeństwem. Najstarszy syn rozpoczął studia na Politechnice, młodszy syn i córka uczęszczali do szkoły średniej. Wybuch II wojny światowej zniszczył rodzinną sielankę. Gdy po wojnie rodzina nie przyjęła radzieckiego obywatelstwa, trzeba było zostawić cały dorobek, wyjechać do Polski i zaczynać wszystko od nowa. Początkowo zamieszkali w Gliwicach, potem w Nowym Sączu.

Wojciech odszedł w bezpowrotną drogę w 1954 r. Katarzyna przeżyła go o 24 lata. Obydwoje spoczywają na cmentarzu komunalnym w Nowym Sączu.

Na podjabłonieckiej gawronowskiej „dziejnie” mieszkają jeszcze wnuczka Jana i Anny Gawronów wraz z mężem i ich prawnuczka (a wnuczka Wojciecha).

Fotografie: arch. „EL”



**BANK SPÓŁDZIELCZY
W LIMANOWEJ**



ZAMIEŃ KILKA KREDYTÓW NA JEDEN I CIESZ SIĘ LEKKĄ RATA!

Jeśli posiadasz kilka kredytów i to w różnych bankach, zamień je na jeden atrakcyjny kredyt konsolidacyjny! Nie musisz pamiętać o różnych terminach płatności, a rata zostanie dopasowana do Twoich możliwości finansowych.

Korzyści:

- jedna rata zamiast kilku,
- jeden termin płatności,
- jeden Bank, który obsługuje wszystkie zobowiązania,
- możliwość skorzystania raz w roku z tzw. wakacji kredytowych.

Kredyt Konsolidacyjny

Konsolidacji podlegają właściwie wszystkie kredyty dla osób fizycznych:

- gotówkowe,
- hipoteczne,
- samochodowe,
- mieszkaniowe,
- studenckie,
- limit w karcie kredytowej,
- limit w rachunku.

Poznaj szczegóły oferty na
www.bs.limanowa.pl





ISO 9001

Sp. z o.o.

biuro@impuls-psb.pl

www.impuls-psb.pl

Łatwość składowania i eksploatacji !!!
Kupuj węgiel workowany
tylko ze sprawdzonych kopalni



Impuls Skład opału ul. Kolejowa
Tel. 18 337-15-04, 694-423-171